Nr. 22 i 23. Kraków, 1 Grudnia 1892 r. Rok II.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi w Krakowie:
rocznie . . . . 7 zlr. 20 centów
kwartalnie . . . . . 1 „ 80 „
miesięcznie . . . . . — „ 60 „
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.
Numer pojedynczy kosztuje 30 ct.
Rękopismów drobnych nie zwraca się.

MYŚL

Prenumerata na prowincyi i w całej Monarchii Austro-Węgierskiej wynosi:
rocznie 8 zlr. — ct., kwart. 2 zlr. — ct.
W Niemczech:
rocznie 16 m., pół rocznie 8 m., kwartal. 4 m.
We Francyi:
rocznie 20 franków, kwartalnie 5 fran.
Ogłoszenia i reklamy przyjmuje Administracya „MYŚLI“ po 10 ct. za wiersz petitem lub jego miejsce za pierwszy raz, a po 5 ct. za następne.

Redakcya i Administracya znajdują się w Krakowie przy placu Szczepańskim L. 9, gdzie też uprasza się nadsyłać wszelkie przekazy i pisma.— Prenumeratę przyjmują również na miejscu wszystkie księgarnie: we Lwowie księgarnie: Seyfartha i Czajkowskiego oraz Altenberga, a pojedyncza sprzedaż w biurze L. Plohna. W Poznaniu: księgarnia J. Leitgebra.

SZAKAL CZY CZŁOWIEK?

Takie pytanie nasunąć się musiało bezwątpienia każdemu, kto bacznie śledził przebieg procesu zbrodniarza, jakiego dotąd jeszcze nie zapisała w swych czarnych księgach kryminalistyka świata.

Morderców, rafinowanych szalbierzy i szpiegów sądzono i karano niezliczone razy, ale chyba nigdy trybunały nie widziały przed sobą kreatury tak nikczemnej i spodlonej, personifikacyi tylu naraz wstrętnych instynktów, takiego zaniku najkardynalniejszych pojęć etyki, co razem wzięte i podniesione do potęgi złożyło się na 25-letniego zaledwie młodzieńca: Hendigera. Zola nazwałby go pewnie bête-humaine, Ibsen zanurzyłby w nikczemną duszę skalpel krytyki psychologicznej, a może nawet stworzyłby z Hendigera bohatera-psychopatę nowego dramatu, Lombroso znowu wydobyłby zeń pewnie sporo przyczynków do swych teoryj kryminalistycznych.

My tak daleko i głęboko nie pójdziemy.

Społeczeństwo polskie nie posiada, na szczęście, w swem łonie takich pierwiastków i czynników rozkładowych, któreby wywołać mogły degeneracyę umysłu i anarchię ducha. Atmosfera zachodu i północy nie owiała nas jeszcze do tego stopnia, abyśmy jej działaniu przypisywać mieli prawo tworzenia się na swojskim gruncie narośli obcych.

Nie! Hendiger, wedle naszego przekonania, nie jest okazem psychopatycznym, lecz wytworem otoczenia, przesiąkniętego nihilizmem moralnym, tego wyzutego z wszelkich zasad etycznych milieu, które kształci i pielęgnuje podobne okazy dla przeprowadzenia daleko idących zamysłów i planów.

Człowiek bardzo miernych zdolności, wyrzucony ze szkół — znalazł się nagle w położeniu alternatywnem: albo uczciwą i żmudną pracą dorabiać się chleba, albo też zaprzedać swą wiarę i sumienie za srebrniki, i od tej chwili, zerwawszy z ideałami Polaka i pojęciami uczciwego człowieka, służyć wiernie carskim podpułkownikom a nawet dostarczać im specyalnych dowodów swej szpiclowskiej gorliwości.

Indywiduum moralnie zepsute, łaknące wygód życiowych bez trudu i mozołu — chwyciło się najhaniebniejszego rzemiosła, a z czasem „kunszt“ ten, w samem założeniu nad wyraz wstrętny, podniosło do niebywałych prawie rozmiarów usiłowanego morderstwa najniewinniejszych rodaków.

Hendiger uosabia więc niezwykle złożony typ zbrodniczy: szpiega, zdrajcy Ojczyzny i faktora niedokonanych zrządzeniem losu morderstw, (w moralnem a w części i materyalnem znaczeniu), które popełnić chciał na członkach własnej Macierzy.

Prąd „dydaktyczno-szpiclowski“, płynący z nad Newy, a tak silnie wzbierający w Warszawie pod kierownictwem Apuchtina et consortes, wyrzucił na powierzchnię kreaturę, której mu historya nie zapomni, tak jak pamiętać będzie i wyryje w swych księgach konkretne rezultaty systematycznego wynaradawiania i ciemiężenia nieszczęśliwego narodu. Kacapskimi instynktami przesiąkł Hendiger — w tem źródło machinacyj tego potwora. Ta „Matuszka“, która go wykształciła, niechaj sobie po latach kary odbierze swego pupila, jako europejski dokument wszechrosyjskiej polityki i pedagogii.

Rozprawa sądowa wykazała tyle potworności i bezgranicznego zepsucia w Hendigerze, że uważamy za zbyteczne szczegółowo zastanawiać się nad jego sztuką bałamucenia i wdzierania się w zaufanie najpoczciwszych ludzi, których, niestety, nikt nie zdołał na czasie przestrzedz, że pod zręczną maską rzekomego „wygnańca“ mieści się stek podłości i zbrodni.

Dowiadujemy się w ostatniej chwili, że Hendiger wniósł rekurs od wyroku sądu krajowego, skazującego go na 10 lat ciężkiego więzienia. Jakikolwiek będzie rezultat orzeczeń wiedeńskiej kasacyi — podzielić musimy wyrażoną w świetnem oskarżeniu p. prokuratora Dra Tarłowskiego opinię, że kodeks nasz jest za ubogi, dla wymierzania sprawiedliwości takim, jak Hendiger, przestępcom. *b.*

Z MOTYWÓW SZOPENA.

Walc.

Oplotła nas marzeń tęczowa sieć,
W łzach cichych roztopił się ból,
Aniele mój biały leć ze mną, leć
Od krwawych, od chmurnych tych pól!

Sierocym welonem otul swą skroń...
I lećmy... i płyńmy dłoń w dłoń...

Za nami mknie z ziemi osnutej w kir,
Żałobna pieśń luteń i lir...

I lecim już... lecim, jak w złotym śnie,
Z doliny tęsknoty i łez...
Ach! kędy nam droga Bóg jeden wie,
Bóg tylko zna drogi tej kres...

Tam w dali... w nizinach i wiatr i mgły...
Tam w dali mogilna pieśń drży...

I czemu ze łzami poglądasz w dal?...
Czy ziemi tej chmurnej ci żal?...

Anielskie chorały zadźwięknęły już...
Och, znam je z nadziemskich mych snów...
Spojrz w niebo, dzieweczko, rączęta złóż
I pacierz sierocy swój mów...

Wiesz o co się modlić potrzeba nam
U gwiezdnych, niebieskich tych bram:

Tam w dali... w nizinach i wiatr i mgły,
Tam ciernie, tęsknoty i łzy...

. . . .

Na skrzydłach, na lotnych wracajmy stąd,
My ptaki bez jutra, bez gniazd...
Och! gdyby nam unieść na chmurny ląd,
Choć jedną... najmniejszą choć z gwiazd!...

. . . .

Sierocym welonem otul swą skroń...
I lećmy... i płyńmy dłoń w dłoń...

. . . .

Na wietrze mknie z ziemi osnutej w kir,
Żałobna pieśń luteń i lir...

Or. - Ot.

LEOPOLD LÖFFLER.

(Z powodu 42-letniej działalności artystycznej).

Lat temu 28 — (nie powiem wiele lat miałem wtedy) — często przechodziłem przez ulice: Leszno, Chłodną, Żelazną — w Warszawie. Na tych ulicach szczególniej dużo usadowiło się pozłotników czyli ramiarzy — w okienku wystawowem każdego z tych ramiarzy znajdował się zawsze albo: „Powrót po napadzie Tatarów“ albo „Pożegnanie Czarnieckiego z koniem“ Löfflera i to nie w jednym egzemplarzu, ale masami; gdyś zajrzał do sklepu, sklep był pełny Löfflera.

Tak jak tutaj całe szeregi pozłotników żyły z oprawiania jeszcze, naówczas ręcznych, olejnych kopij z obrazów Löfflera, tak gdzieś znowu, były całe masy braci po pendzlu, którzy literalnie nic innego całe życie nie robili, tylko kopie z obrazów Löfflera. Było tak wielkie zapotrzebowanie tych obrazów, o jakiem dziś nawet, wobec mechanicznych sposobów reprodukcyi, pojęcia mieć nie można, dziś zanadto często moda się zmienia, jeden obraz wypycha z targu drugi i tak dalej. Śmiało powiedzieć mogę, że Löffler był przez jakie lat 20 jedynym, z którego obrazów robiono reprodukcye, kolorowe na owe czasy. (Lesser, wtedy jedyny historyczny malarz — był reprodukowany tylko litograficznie). A popularność ta była zupełnie zasłużona. Obrazy Löfflera mają takie zalety, że wszyscy muszą je zrozumieć i lubieć. Są rysowane bardzo poprawnie, linia jest spokojna i szlachetna — charakterystyka głów bardzo głęboko odczuta, żadnych tam kontorsyj nie widać, koloryt bar-

dzo harmonijny i zgodny z prawdą miejscową. Jeśli, naprzykład, Löffler maluje scenę, odbywającą się na powietrzu — to oświetla ją słońcem — nie zaś jak całe szeregi jemu współczesnych malarzy — zwykłem pracownianem światłem. Obrazy Löfflera robią wrażenie, nawet w nędznych kopiach, bo są dobrze komponowane.

Jego „Powrót z Jassyru,“ będący własnością galeryi Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Warszawie, zawsze zgromadza koło siebie tłumy widzów, i będzie tak zawsze, ponieważ zalety tego obrazu są trwałe. Jest to właściwość talentu Löfflera, że obrazy jego nie stają się z czasem nudne i nie oklepują się, że użyjemy tutaj tego bardzo utartego wyrażenia. Widziałem go kilka lat temu — wydał mi się nawet lepszym niż lat temu 28. Jest to bardzo szczerze odczuta i bardzo sumiennie namalowana scena. Jest to obraz, który zawsze będzie, po najdłuższym przeciągu czasu, przynosił zaszczyt autorowi i polskiej sztuce. Wyraz kobiety żony, klęczącej u nóg męża, mówi tak wiele, że nie potrzeba być żadnym filozofem, albo patentowanym znawcą i protektorem sztuki — aby go zrozumieć. Długa niewolą stęskniony mąż, wraca i pierwsza rzecz przypatruje się żonie, trzymającej chłopca, któryby właściwie powinien jego uwagę skupić. gdyby ten młody i tęgi wojak nie był przedewszystkiem mężem — tu niema żadnej afektacyi, żadnej historyozofii, żadnej symboliki: jest prawda. Stary ojciec oczywiście bierze rzecz chłodniej; jemu chodzi o to, co i jak było, wiele trudów kosztował wykup i rozmawia z zakonnikiem. Nawet Kasia czy Marysia we drzwiach, jest prawdziwą do szpiku kości, porzuciła garnki i wygląda z kuchni, aby zobaczyć pierwszy raz młodego pana, który wrócił z niewoli tatarskiej.

Wszystko aż do rozdarcia na spodniach jest bez przesady — to też często ci, którzy już tysiące razy obraz ten widzieli, wracają z przyjemnością oglądać to rozdarcie.

W „Powrocie po napadzie Tatarów“ jest groza, choć to obraz sloneczny i jasny w kolorycie — ten starzec wsparty na chłopcu, to wszystko, co przypadkiem zostało po rodzinie, niegdyś może licznej i zamożnej.

Wtedy, kiedy jeszcze tylko Kossak malował konie — Löffler: „W pożegnaniu Czarnieckiego z koniem,“ interes całego obrazu, rzec można, oparł na wyrazie głowy końskiej, i udało mu się to świetnie. Dowodzi to wszechstronności talentu. Dziś różniczkuje się wszystko — koń, pejżaż, portret, obraz historyczny, et caetera. Ci, co malują krajobrazy, nie troszczą się o to aby umieć malować figury — ci co malują figury — malują słabo albo wcale nie malują — krajobrazy.

W ostatnich kilkunastu latach, Löffler maluje mało, może jest to skutkiem obecnych jego zajęć profesorskich. Jest to natura ar-



Leopold Löffler.

tystyczna, zupełnie oryginalna. Löffler jest w sobie zamknięty, mało się udziela, nic o sobie nie mówi, bo jest z tych czasów, kiedy jeszcze dzienniki nie opisywały koloru ognistych oczu Żmurki i garbatego nosa Gotlieba. Patrzy on na zaciekłą reklamę nowych talentów, które jak kamienie rzucone w staw, wielki robią gwałt, ale się woda wkrótce wygładza bez śladu — patrzy on i dziwi się, że jest tyle hałasu o nic, że jest tyle blagi. On bo nigdy nic nie blagował ani blaguje, ale jesteśmy pewni, że wie doskonale co jest wart — aleć trudno włazić na dach i wrzeszczeć, jak to się dziś robi — „gwałtu jak że ja jestem wielki.“! Ma on dużo miłości własnej i dla tego siedzi cicho, ale że to jest dzisiaj dziwne, ażeby sławny człowiek siedział cicho, więc go okrzyczano za takiego, który pojęcia o swej wartości niema. Ma on to poczucie i słusznie może powiedzieć „ja jestem malarzem“ ale tego Bogu dzięki mówić sam nie potrzebuje, mówią za niego obrazy — i mówić będą — a chociaż koło niego dalej pójdzie ten szalony wir reklamy — on na tem nic nie straci, bo jego obrazy zawsze pozostaną dobre i zawsze będą przez wiele jeszcze pokoleń oglądane z przyjemnością spokojną a szczerą.

Stanowisko Löfflera w sztuce polskiej jest to samo co np. Defregera w Niemczech. Ale Defreger jest gorszym od Löfflera, jest bowiem płytszym. Defreger ma dużo pieniędzy, dużo sławy — bo żyje w Niemczech. Gdybyśmy wymienili cenę, którą zapłacono Löfflerowi za Jego „Powrót z Jassyru,“ żaden młody adept sztuki, który ma znajomego na wystawie, albo w jakiej redakcyi niechciałby się publicznie przyznać, że za taką cenę sprzedał swoją krutę.

„Il n'ya pas de grand homme pour son valet de chambre“ ktoś dowcipnie powiedział, i prawda to święta. Jubileusz Löfflera zgromadził niewielu uczestników; pewne sfery, tak zwane miarodajne w rzeczach sztuki ostentacyjnie wstrzymały się od udziału. Cóż tam ten Löffler! — jadałem z nim obiad „pod różą“ — za pan brat...

Trzeba się owijać w togi, grzmieć piorunami z parnasu, choćby ten parnas był z papier-mâché — wtedy narodek nasz uszanuje. Należy blagować, jeśli kto chce być popularnym w tem znaczeniu jak to dzisiejsze pokolenie rozumie. Löffler nic z tego nie robił. On nie chce aby jego oglądano, ale jego dzieła. Sapienti sat [1]).

Antoni Piotrowski.

[1]) Leopold Löffler urodził się w Rzeszowie w roku 1829. Dziecinne lata spędził w Radymnie, nauki zaś pobierał we Lwowie W sztuce malarskiej kształcił się najprzód w Wiedniu pod kierunkiem prof. Waldmüllera, następnie w Paryżu. W r. 1877 powołany został na profesora Akademji sztuk pięknych w Krakowie, które to stanowisko do dziś zajmuje. Dużą popularnością cieszyły się obrazy jubilata: „Intryga o spadek,“ „Przerwany podpis,“ „Dwaj kwestarze,“ „Ślub tajemny,“ „Trembowla.“ „Krzyżowcy pod Jeruzalem.“ — Z powodu jubileuszu zasłużonego artysty — wyszła z pod prasy sylweta Löfflera, barwnie napisana przez p. Wł. Prokescha. (*Przyp. Red.*)

KLĘSKA

(La débâcle).

POWIEŚĆ

przez

16) **EMILA ZOLĘ.**

Potem nagle, w przeddzień rozwiązania, zniknął bez wieści. Opowiadano sobie, ze poszedł służyć do innego folwarku w okolicach Beaumont. Trzy lata od tego czasu minęło i nikt w obecnej chwili nie wątpił, że ten Goliat, co z taką łatwością dziewczęta matkami robił, był jednym z tych szpiegów, którymi Niemcy przepełniały francuskie prowincye wschodnie. W Afryce, gdy Honory dowiedział się o tej całej historyi, rozchorował się ciężko i trzy miesiące w szpitalu przeleżał, jak gdyby to palące słońce jednem uderzeniem promienia swego powaliło go o ziemię. Nigdy potem nie chciał korzystać z urlopu, jaki mu się z prawa należał i nigdy nie chciał wrócić do rodzinnej wsi, aby nie widzieć Sylwiny i dziecka.

Gdy Maurycy brał od niego list, ręce artylerzysty drżały. Był to list od Sylwiny, pierwszy, jedyny, który kiedykolwiek do niego pisała. Jakie uczucie nią powodowało, tą uległą, tą cichą dziewczyną, której piękne oczy naraz nabierały czasem wyrazu stałego postanowienia, niezwykle silnego w obec bezustannej, i jakby przyrosłej do niej niewoli? Mówiła poprostu, że, wiedząc iż jest na wojnie i w obawie, czy go kiedykolwiek jeszcze zobaczy, nie chciała aby zginął, myśląc, że ona go nie kochała. Kocha go zawsze i nigdy nie kochała nikogo innego, tylko jego. I powtarzała to tylko na całych czterech stronach w zdaniach, które powracały ciągle takie same, do siebie podobne, nie szukając wymówki, nie starając się nawet wytłomaczyć dlaczego się tak stało, jak się stało... I ani jednego słowa o dziecku!... nic, tylko samo pożegnanie, w nieskończonej słodyczy i smutku.

List ten rozrzewnił bardzo Maurycego, któremu ongi kuzyn z wszystkich swoich uczuć i zawodów się zwierzał. Gdy spojrzał na niego i zobaczył zalanego łzami, uścisnął go prawdziwie po bratersku.

— Biedny Honory!...

Ale podoficer artyleryi sam wstydził się swego wzruszenia, otarł łzy, list starannie złożył, schował do kieszeni na piersiach i zapiął mundur.

— Tak, mój drogi!... na takie rzeczy to się w człowieku wątroba przewraca... A!.. zbój jeden!... gdybym go był mógł schwycić!... No!... ale co się odwlecze...

Trębacze dawali już sygnał na zwinięcie obozu i obaj musieli biedz pędem, aby się dostać do swoich namiotów. Zresztą przygotowania do wymarszu długo się wlokły i wojsko z tornistrami na plecach czekać musiało do dziewiątej. Zdawało się jakby jakaś niepewność i niestanowczość wiała od głównej kwatery. Nie była to już ta niezłomna wola pierwszych dwu dni, która przepędziła siódmy korpus sześćdziesiąt kilometrów w dwóch etapach. I dziwne jakieś wiadomości niepokojące krążyły od samego rana. Marsz trzech innych korpusów armii, pierwszego na Juniville, piątego i dwunastego ku Rethel, marsz, zupełnie logiki pozbawiony, tłomaczono potrzebą zaopatrzenia się w żywność i furaż. A więc już nie idzie się na Verdun?... Po cóż więc ten dzień stracony?... A co najgorsza, to, że prusacy muszą być teraz niedaleko, bo oficerowie uprzedzili swoich ludzi, aby się nie zapóźniali i za korpusem nie zostawali, bo każdy maruder może się łatwo dostać w ręce rekonesansów kawaleryi nieprzyjacielskiej.

Było to dnia dwudziestego piątego sierpnia i Maurycy, gdy sobie przypomniał zniknięcie Goliata, był jaknajmocniej przekonany,

UPIORY.

Fantazya na temat rzeczywistości

napisał

Fr. Rawita.

Na zamku Zollenburg od kilku dni działo się coś nadzwyczajnego.

Szare jego, nastrzępione basztami mury nosiły na sobie ślady długiego życia; poszczerbione strzelnice, sterczące nad dachem, świadczyły, że niejedna kula nieprzyjacielska zaczepiła o nie, nie raz deszcz śmigał ich płaskie boki, nie raz mróz rozsadzał powoli ich głowy kamienne, — ale kulom i deszczom i mrozom oparły się one i przetrwały aż do doby dzisiejszej.

Zamek wyglądał posępnie, surowo, smutnie, jak żołnierz po przebyłych długich bojach, patrzący na pobojowisko. Zdawało się, że dumał o przeszłości i w smutnem zamyśleniu o przyszłości marzył. W koło niego panowała cisza, jakaś głucha, ponura jak szare, jednostajnej barwy niebo, wiszące nad poszarpanemi linjami starego zamku, nad rozkraczystemi wieżami, ostrym szpicem pnącemi się ku ołowianym chmurom. Jakby zgrzytem jakimś odzywało się tylko śród ciszy skrzypienie chorągiewki na dachu, skręcającej się w kierunku ociężałego powiewu wiatru.

Była już północ. Zdaleka dolatywały piania kogutów, szczekania psów, a co godzina słychać było przed bramą zamkową mierzony szelest kroków zmieniającej się warty. Żołnierze przechodzili powolnym krokiem przez dziedziniec zamkowy i jakby umyślnie krok zwalniając, w jeden punkt zamku spoglądali. Wszędzie było ciemno; w tym jednym punkcie tylko przez wielkie, zasłonięte roletą okno, niewyraźnie migało światełko jako znak, że w komnacie ktoś czuwa.

— Już jutro pewnie nie pokaże się w oknie... — szeptali przechodząc żołnierze.

— Inny tam stanie...

Napół tłumione głosy urywały się, a żołnierze wsuwali się w drzwi jakieś i ginęli w nieoświetlonej przestrzeni.

Zamek Zollenburg należał do niemieckiego Raubrittera, który z żelazną konsekwencyą i wolą tratował wszystkich nogami jak koń ratunkowy, wszystkie karki pochylał do progu swego »burgu«, krew wyciskał wraz z podatkami własnych poddanych, zbierał miljony do żelaznego skarbca, a w wolnych od rabunku chwilach liczył różaniec i czytał ewangelją.

Żelazną ręką pośród ubogich sadyb Stoderanów, Lutyków, Wilków, Pomorzanów, ograbiwszy ich do reszty i w niewolników zamieniwszy, zbudował sobie państwo, a posępny Zollenburg sterczał na świadectwo zbrodni jego i przodków. Był on ostatnim raubritterem swego rodu, ostatnim z linji Zollenburgów. Dawniej co dnia rano pokazywał się w oknie, w które wpatrywali się żołnierze; widać było całą jego postać wyniosłą, wyprostowaną, sztywną, chłodną, a wzrok jego drapieżny wybiegał na okolicę, błądził tam jak wilk szukający zdobyczy lub zatrzymywał się nachmurzony na twarzach niewolników, pełzających u podnóża zamku.

Od kilku dni okno zamknięte; zamek ponura cisza zaległa i tylko częste wizyty jego ulubieńców świadczyły, że w«starych murach» coś tajemniczego się dzieje.

Zollenburg był chory. W obszernej sypialnej komnacie, oświetlonej łagodnem różowem światłem, na mahoniowem łożu, rzeźbionem w lwy i tygrysy, nad którem zwieszała się tkana z jedwabnej materji kotara, leżał starzec. Wysoko podniesione poduszki pozwoliły mu zachować pozycję człowieka siedzącego, chociaż starannie podparta głowa i boki świadczyły, iż chory o własnej sile utrzymać się nie mógł. Zegar zamkowy skrzypiącym głosem wydzwaniał północ.

W sypialni chorego było tylko dwóch ludzi. Obaj siedzieli w głębokich fotelach, ukośnie nieco na środek pokoju wysuniętych, schowani zupełnie pośród miękkich ścian. Milczenie i półcień nadawały obrazowi charakter smutny, posępny, tajemniczy. Czuć było, kościstą rękę śmierci, wyciągniętą u wezgłowia chorego, a chłód jej udzielał się światłu, ludziom i powietrzu; zdawało się, że ktoś niewidzialny czyta jakiś wyrok stanowczy, przed którym każda wola ugiąć się musi a wszystko i wszyscy dostroili się powagą i smutkiem do treści nieodwołalnego wyroku.

Chory miał twarz wychudzoną, bladą, której siwa broda dodawała jeszcze więcej bladości, oczy zamknięte, czoło sfałdowane, zasępione, odbijało niewesołe myśli, wydobywające się z głębi stygnącej duszy.

Stary Zollenburg konał.

Obaj towarzysze bojów, walk, zdzierstw i gwałtów chorego siedzieli zachmurzeni. Jeden z nich miał twarz zwiędłej cytryny, wychudzoną, bladą, wygoloną starannie, na której ustach błąkał się uśmiech lisa skradającego się do ofiary, a wielkie zamyślone czoło świadczyło, że lisiemi kroki kieruje wyrafinowany i spokojny rozsądek. Drugi miał twarz buldoga, którego zamyślenie wyrażało więcej grozy niż smutku. Usta jego milczały, ale buntowniczy duch miotał się w olbrzymiem cielsku i zdawało się, wił się z gniewu, że on nieugięty przed ludźmi, uginać się przed jakąś niewidomą wolą musi. Głowę miał schyloną w dół nieco, a grube obfite wąsy spływały mu na brodę jak kaskady i usta zakrywały zupełnie.

Oprócz dwóch przyjaciół — dwóch sług, dwóch niewolników, w posępnem zamyśleniu siedzących w fotelach, w komnacie nie było nikogo — ani żony, ani dzieci, ani rodziny. Stary rycerz umierał samotnie. Nieruchoma jego twarz ożywiała się niekiedy, jakby ją prąd elektryczny z zewnątrz idący przelatywał i poruszył, gwałtownym ruchem otwierały się oczy, i blaskiem przestrachu migocąc, zamykały się znowu i gasły.

Buldog nachylił się do lisa.

— Żyje jeszcze... — szepnął.

— Żyje...

Znowu głuche milczenie zapanowało.

Starzec żył jeszcze, ale żył już w innym świecie niedostrzeżonym i niewidzialnym dla przyjaciół, Żył pośród obrazów, pośród wrażeń, pośród ludzi, których nigdy przedtem nie oglądał, a które mu nigdy spokojnego snu nie mąciły. Kiedy świat zewnętrzny zamykał się przed jego oczyma, otworzyły się podwoje nigdy nie śnionych przedtem światów. Niejasne myśli i obrazy powstawały przed nim, rozwijały się niby z olbrzymiej sztuki płótna, potem zapadały się jak pod ziemię, a na ich miejsce powstawały nowe. Rzeczywistość mieszała się ze snem, z majaczeniem przedśmiertnem.

Nagle wydało mu się, że słyszy świst jakiś i ryk... To wiatr szumi — uspokajał siebie — zima przecież... Ach, prawda! Zima... I jakby na uspokojenie jego, niewiedzieć skąd wysuwał się krajobraz zimowy: posępny, daleki... Okolica uboga, chaty niskie, zasypane śniegiem, przy chatach sterczą szronem okryte drzewa, przez całą wieś słychać wycie psów, żałosny poryk głodnego bydła... Co za okolica smutna i uboga! Nigdy za życia nie widział takiej. Wpatrywał się mimowoli w białą płachtą owinięte chaty i po za niemi ciągnącą się przestrzeń równą, smutną, bezbrzeżną... Cóż to? Umarła płaszczyzna śniegowa ożywiać się poczęła... zdala ukazały się jakieś

że człowiek ten był jednym z tych, którzy objaśniali sztab główny niemiecki dokładnie o ruchach armii chalońskiej i spowodowali zmianę frontu trzeciej armii. Zaraz też nazajutrz książe następca tronu pruskiego opuścił Revigny i rozpoczęła się wspaniała i słynna w kronikach ewolucya: ten atak skrzydłowy, to olbrzymie ogarnięcie zapomocą forsownych marszów w jaknajwiększym porządku przez całą Szampanię i Ardeny. Podczas gdy francuzi wahali się i dreptali, chwiejąc się na miejscu, jakby nagłym paraliżem rażeni, prusacy robili po czterdzieści kilometrów dziennie, popędzając stada ludzi, które napotykali — ku lasom granicznym.

Nareszcie wyruszono, w istocie tego dnia armia dokonała zwrotu na lewo i siódmy korpus zrobił zaledwie dwie małe milki francuskie, przenosząc się z Contreuve do Vouziers, gdy tymczasem piąty i dwunasty stały bez ruchu w Rethel, a pierwszy dotarł do Attigny. Od Coutreure do doliny rzeki Aisny znowu rozciągały się płaszczyzny szerokie i coraz bardziej nagie. Droga za zbliżeniem się do Vouziers wiła się po ziemiach szarych, pagórkach łysych, bez jednego drzewa, bez jednej chaty jak w pustyni, melancholii i smutku pełnej. Etap, chociaż tak krótki, znużył i zmęczył wojsko tak, jakby się miał nigdy nie skończyć. Około południa zatrzymano się na odpoczynek na lewym brzegu Aisny i biwakowano na ziemiach nagich, których ostatnie wzniesienia panowały nad doliną. Widać ztąd było całą drogę do Monthois, ciągnącą się wzdłuż rzeki, drogę, którą spodziewano się nadejścia nieprzyjaciela.

Dla Maurycego było znów powodem wielkiego zdziwienia, gdy zobaczył tą samą właśnie drohą od Monthois przychodzącą dywizyę generała Margueritte, całą tę rezerwę kawaleryi, której obowiązkiem było podtrzymywać korpus siódmy i lewe skrzydło armii osłaniać. Opowiadano, że kawalerya ta idzie w górę ku Chene Populeux. Dlaczegóż to jednak osłabia się i odsłania to właśnie skrzydło, które jedynie jest zagrożone? Dlaczego przenosi się do środka te dwa tysiące kawalerzystów? Przecież tam będą oni zupełnie bezużyteczne? Czyż nie jest raczej obowiązkiem rozrzucić ich w rekonesanse jak można najdalej?... A do tego wszystkiego. wpadając tak w sam środek pochodu siódmego korpusu, jazda ta robi nie dające się opisać zamieszanie. Wszystko się kłębi razem, ludzie, armaty, konie...

Strzelcy afrykańscy blisko dwie godziny czekać musieli u bram miasta Vouziers!...

Los tak zdarzył, że Maurycy poznał zdaleka Prospera, który na koniu podjechał nad brzeg jakiegoś dołu bagnistego i mogli ze sobą porozmawiać przez chwilę. Strzelec wydawał się jakimś ogłupionym, oszołomionym. Nie wiedział nic, nie widział nic od samego Reims... Ale nie!... widział przecież dwóch ułanów, dwóch zbójów, którzy to się ukazywali, to znikali i nikt nie widział skąd się biorą i gdzie podziewają. Słyszał też rozmaite historye, jakie opowiadano, jak np. o czterech ułanach, którzy wpadli galopem do jakiegoś miasta z rewolwerami w rękach, przebiegli je aż na drugi koniec i zdobyli w niedalekiej odległości dwudziestu kilometrów od ich korpusu. Ułani ci byli wszędzie, ukazywali się wszędzie, poprzedzali kolumny wojsk z brzękiem niby rojów pszczół, stanowiąc niejako kurtynę ruchomą, po za którą piechota wykonywała ruchy swoje i postępowała naprzód z całą swobodą i pewnością jak w czasie pokoju. Maurycemu aż się serce ściskało z bólu na widok tych strzelców konnych i tych huzarów, z których tak mało ma armia francuska korzyści, gdy tymczasem ułani armii niemieckiej tak olbrzymie oddają usługi.

— No, a teraz do widzenia — rzekł, ściskając rękę Prospera. — A może istotnie potrzebują was tam w górze...

Ale strzelec wydawał się jakby zniechęcony

postacie — z początku niby z ziemi wyrastały pojedyńczo, potem zrastały się w grupy, w gromady i wprost ku niemu podążały.

Cóż za nędza! Co za ubóstwo! Wszyscy pędzą naprzód jakby ich niewidzialny wicher popychał, który ich do szpiku przenika, szarpie łachmany, trzepie niemi w powietrzu jak chorągwią żałobną. Przodem idą starce, potem niewiasty, dzieci obok nich biegną, i wołają: chleba, chleba, chleba... A przed niemi nie ma nadziei spoczynku, dokoła białe morze śniegu, w którem co chwila ktoś pada i zanurza się... Cały ten tłum ryczał jednym jękiem, jednem wołaniem:

— Przeklęty jesteś! Odebrałeś nam mowę ojczystą, naszą ziemię, wypędziłeś nas na tułączkę i ubóstwo... (D. n.)

Z CHWILI.

(Kronika społeczno-polityczna).

Sprawa Panamska. — Kardynał Lavigerie.

Wobec moralnej i materyalnej klęski, jaką poniosła obecnie Francya — bez echa niemal przeszły zwycięstwa afrykańskie generała Dods'a. Ze zdumieniem spogląda Europa na trzecią Rzeczpospolitą jako na państwo, gdzie korupcya, wsiąknąwszy w żyły całego narodu, dosięgła tak potwornych rozmiarów, że wobec niej bledną chyba przekupstwa na ziemi Carów. Naraz świat dowiaduje się, że ów słynny Ferdynand Lesseps, ów „Grand Francais“ to człowiek lekkomyślny, który nieobliczywszy się ani z własnemi ani z siłami przyrody przetrwonił miliardy z ufnością w ręce jego złożone a niechcąc sławy imienia stracić — sprzedajność między narodem szerzył; że ów Eifel, wieżo-twórca, to spekulant, który wziąwszy 18 milionów fr. za roboty, tychże nawet nie rozpoczął; że ów niepokalanej cnoty senator, bankier Reinach, samobójca, to ex faktor, przekupujący drugich, słowem że wszystko to i wszyscy ci, którzy do dziś uchodzili za szlachetności i wielkości wzór, to małe i nikłe kreatury, prowadzące naród do ruiny i hańby. Między przekupionymi mają być najpierwsi dostojnicy i cała niemal prasa paryzka. Roboty w Panama wstrzymane zostały, Ameryka tryumfuje, dwaj Lessepsowie przed sądem, miliony ludzi zrujnowanych. Oto czem Francya ma się dziś przed światem popisać. Winę przedsiębiorców badać będą sądy, zarzuty czynione deputowanym i ministrom (sam Carnot nie jest wolny od tychże) rozpatrzy komisya, która została wybrana z łona parlamentu i już się pod przewodnictwem Brissona ukonstytuowała. W roli oskarżyciela występuje deputowany Delahay. Cały świat z niecierpliwością wyczekuje rezultatów śledztwa tej sprawy, którą przyrównują do machinacyi Wilsona z orderami. Zdaniem naszem, jest ona jednak ciekawszą i skandaliczniejszą. I tak deputowany Brisson, jako przewodniczący komisyi śledczej, na posiedzeniu ostatniem parlamentu wyraził żal, że władze nie zarządziły obdukcyi zwłok br. Reinacha i opieczętowania jego papierów. Gdy prezes gabinetu Loubet zażądał od Izby przejścia do porządku dziennego nad tą sprawą — większość zaoponowała, wskutek czego Loubet podał się wraz z całem ministeryum do dymisyi.

Upadek francuskiego gabinetu dlatego jest wielce charakterystycznym, że nastąpił nie z powodów politycznych, nie z powodu różnic między Izbą a prezydentem ale wskutek kwestyi moralności publicznej, co jest dowodem, że oskarżenia dep. Delahay'a nie były ani bezzasadne ani lekkomyślne, jak powszechnie mniemano. Po zeznaniach sędziego Prinet'a — okazało się niemal pewnem — że towarzystwo panamskie użyło olbrzymiej sumy 83 milionów na przekupienie prasy i przekupić dających się polityków.

Ze smutnego tego stanu rzeczy wyciągać jakieś następstwa zbyt daleko sięgające — byłoby ryzykownem, nie ulega jednak wątpliwości, że Francya znajduje się na drodze przesilenia, któremu kres położyć może — jak przewidują niektórzy — zupełny przewrót polityczny, jakiś nowy Boulanger lub zmiana formy rządu.

* * *

Zmarły w Afryce kardynał Lavigerie zaliczał się do wyjątkowych dostojników kościoła, którzy w trzech dziedzinach: chrześcijańskiej, humanitarnej i politycznej wielki rozgłos i uznanie świata całego zdobyli. Za punkt użytecznej pracy obrawszy sobie Afrykę, by duchowemu rozwojowi Ojczyzny swojej, Francyi, wedle sił i możności służyć, stworzył on tam mnóstwo instytucyj tak religijnych jak świeckich, których akcya obfituje w niepoślednie rezultaty. Walka z barbarzyństwem, zniesienie handlu niewolnikami i rozkrzewienie prawdziwej wiary wśród Negrów — były celami prymasa Afryki. On też zainicyował wśród duchowieństwa francuskiego uznanie dla republikańskiej formy rządu, co wielce przyczyniło się do wewnętrznego uspokojenia umysłów w kraju. W kardynale Lavigerie upatrywano powszechnie następcę na stolicę Piotrową po Leonie XIII. Był on jednym z najpoważniejszych kandydatów na tron papiezki.

Urodził się w roku 1825 w Bajonie, jako syn urzędnika akcyzy. Stopień doktora teologii otrzymał w Paryżu, gdzie w Sorbonie powierzono mu katedrę historyi kościelnej. W roku 1863 został biskupem w Nancy i odtąd stopień po stopniu osiągał najwyższe zaszczyty, pracując z chwałą dla kościoła i Ojczyzny. We Francyi śmierć jego wywołała powszechną żałobę, a nawet takie pisma, które o przychylność dla kościoła posądzać nie można, wyrażają się o zmarłym z niezwykłą czcią i uszanowaniem. Z. P.

---

do rzemiosła, do jakiego go zmuszano. Głaskał Zefira ręką niepewną i gestem niechętnym i odparł:

— Głupstwo!.. Zwierzęta zamęczają na śmierć, a ludzi napróżno marnują... Aż wstyd bierze patrzeć!..

Wieczorem, gdy Maurycy chciał zdjąć trzewik i obejrzeć piętę, która go strasznie paliła, razem z trzewikiem zdarł sobie skórę z nogi. Krew trysnęła, biedny chłopiec aż krzyknął z bólu, Jan który to zauważył, zbliżył się do niego, litością i niepokojem tknięty.

— Słuchajno pan, to zaczyna być źle... jeszcze nam zostaniesz w drodze... Trzeba na to radzić... Czekaj pan. ja się do tego wezmę.

Ukląkłszy, obmył mu ranę i obandażował czystą bielizną, którą wyjął ze swego tornistra. Robił to wszystko z iście macierzyńską troskliwością, z delikatnością człowieka doświadczonego, którego palce grube umieją być miękkiemi, jak się tego potrzeba wydarzy.

Nieprzezwyciężone rozczulenie ogarnęło Maurycego, oczy mu mgłą wilgotną zaszły i wyraz „ty“ z serca do ust mu wypłynął, w tej wielkiej potrzebie miłowania, jak gdyby brata odnalazł w tym chłopie, tak silnie ongi nienawidzonym, pogardzanym wczoraj jeszcze...

— Ty jesteś poczciwy chłop!.. — rzekł. — Dziękuję ci, mój stary...

I Jan odpowiedział mu również przez „ty“, z tym swoim spokojnym uśmiechem:

— A teraz, smarkaczu jeden, leż spokojnie!.. Ale ale!., mam jeszcze trochę tytoniu, może chcesz papierosa?..

V.

Nazajutrz, dnia 26 sierpnia, Maurycy wstał jakiś połamany, bezsilny, po nocy pod namiotem przespanej. Nie przyzwyczaił się jeszcze do ziemi twardej, a ponieważ dnia poprzedniego zakazano ludziom zdejmować buty do snu, a sierżanci chodzili i macali po ciemku, czy każdy ma na nogach kamasze i trzewiki, noga jego nie miała się wcale lepiej i bolała go bardzo, a paliła jeszcze bardziej, nie licząc już tego, że sobie nogi przeziębił, wyciągnąwszy je po za płótno namiotu na powietrze, bo mu było za ciasno.

Jan zobaczywszy go, rzekł mu odrazu:

— Mój kochany, jeśli dziś mamy iść dalej, to ty lepiej zobacz się z doktorem i niech cię na wóz wsadzą, bo będzie źle.

Ale nikt nic nie wiedział, a pogłoski chodziły najrozmaitsze, wprost sobie wzajem przeczące. Przez chwilę sądzono, że na nowo marsz się zaczyna. Obóz zwinięto cały, korpus armiii się poruszył i przeszedł przez Vouziers, zostawiając na lewym brzegu Aisny tylko jednę brygadę drugiej dywizyi dla pilnowania drogi od Monthois. Potem nagle po drugiej stronie miasta, na prawym brzegu zatrzymano się i kozły z broni zostały ustawione na polach i łąkach, rozciągających się po obu stronach wielkiego gościńca, prowadzącego do Grand-Pré. W tejże chwili tentent odjazdu czwartego pułku huzarów, drogą tą pełnym kłusem się oddalających, przeróżne obudził domysły.

— Jeśli tu stać mamy, to ja do doktora nie idę! — rzekł Maurycy, w którym się coś burzyło na myśl o doktorze i wozie ambulansowym.

Niebawem też dowiedziano się, że tu się będzie obozowało, aż do chwili, kiedy generał Douay zdoła się dowiedzieć czegoś pewnego o ruchach nieprzyjaciela. Od dnia wczorajszego, to jest od chwili, gdy dywizya generała Marguerrtte cofnęła się w górę ku Chene Popoleux, wódz korpusu zostawał w ciągłym i ciągle wzrastającym niepokoju, wiedząc, że jest zupełnie odkryty, że ani jeden człowiek nie strzeże wąwozów Argony tak, że armia może być zaatakowaną niespodzianie w każdej chwili. Wysłał więc właśnie czwarty pułk na rekonesans aż do wąwozów

PRAWA KRWI.

(Bourget: „La terre promise.“)

Młode, znudzone niewiasty ucieszcie się! Między plotką i flirtem, między wizytą u modniarki i wyjazdem na spacery, będziecie mogły przyjemnie czas spędzić; usadowione na wygodnej sofce, „niepoprawne“ grzesznice, usłyszycie moralistę, który przez was cierpi... cierpi. Bourget napisał nową powieść poważną, z tendencyją moralną, bo w „Terre promise“ analizuje kwestyję ojcostwa w zapasach z cudzołóztwem. Streścimy ten nowy, rozdzierający poemat serca ludzkiego... Bourgeta, opisany w: „la Terre promise.“

Franciszek Nayzac w ogrodach willi Tosca w Palermo przechadza się ze swoją narzeczoną, Henryką Scilly. Nayzac, dawny dyplomata, znudzony używaniem "kawalerskiego życia", zapragnął „Ziemi obiecanej“ w postaci małżeństwa z Henryką. Scena pierwsza, jest sceną błogiego szczęścia, które, jak zwykle w życiu i w powieściach Bourget'a, nie trwa długo. Franciszek, po przechadzce z „ziemią obiecaną,“ wraca do hotelu i na liście gości spotyka nazwisko: „Paulina Raffraye z dzieckiem.“ Paulina jest dawną kochanką nowożytnego Mojżesza. Strach przejmuje rycerza! Czego chce ta Paulina, którą on rok cały kochał i którego ona ubóstwiała, gdyż znalazła w nim, „pieszczotliwe, delikatne maniery i subtelną, na wpół kobiecą inteligencję“ — coś z mężczyzny i kobiety, jednem słowem androgyna zmysłów, ideał wielkiego Maga Sar-Peladana. Miła para! On z umysłem damy, ona z sercem Safony! Miłość ich, zrodzona przy łożu umierającej siostry Nayzac'a, była smutną. Franciszek był jednym z tych marzycieli podejrzliwych i niespokojnych, dramatyzujących namiętności, używających rozkoszy i cierpień przed odczuciem ich, wreszcie „lubiących za bardzo kochać.“ Umysł „subtelny,“ Franciszek niechciał znać męża Pauliny i dlatego kochał ją, nie żyjąc w jej otoczeniu. Ztąd pole do przypuszczeń i zwątpienia! Po pierwszych chwilach namiętności zaczyna się kara. Natura, bóstwo czy sumienie nie mają nic lepszego do roboty na tym najlepszym ze światów, jak karanie strasznego przestępstwa cudzołóztwa. Franciszek staje się podejrzliwym, zazdrosnym, bo „my jesteśmy własnymi Jago.“ Po roku miłości, przeplatanej zazdrością, bohater Bourget'a czuje wstręt i nienawiść. Zrywa z Pauliną, która, według jego obliczeń, zdradza go. Zużyty młodzian potrzebował rozkoszy a la Sade; współczesny kochanek (świata bourgetowskiego) nie może zadowolnić się gruchaniem nawet nieplatonicznem; potrzebuje on bata, smagań, cierpień. Znajduje je w podejrzeniach, zazdrościach, analizie i t. p.

Lecz i to nie na długo starczy! Niesmak po przejedzeniu i wstręt po używaniu są zwykłymi skutkami rozkoszy skomplikowanych młodzieńców Bourget'a. Kiedy przychodzi chwila wstrętów, człowiek szuka formy logicznej zerwania. Jeden ją znajdzie w altruizmie: „jam jej nie godzien“ inny w nagłych żalach o mężu, trzeci wreszcie, lubiący na innych zwalać winę, szuka winowajcy w kobiecie: tyś mnie zdradziła, niegodna! No i skutek zawsze zawsze jeden; ucieczka, a na przyszłość jeszcze trochę smutnych spojrzeń, pełnych tajemniczości westchnień na magiczny wyraz: kobieta! I biedne damy, patrząc na smutnego młodzieńca, niepokoją się, jaki on interesujący! jak on wiele cierpiał!... Jednem słowem można znowu rozpocząć seanse miłości dyletanckiej. Bo czem nazwać miłość bohaterów Bourget'a, jeżeli nie dyletantyzmem, miłością zużytych i słabych. Dyletantyzm! najokrutniejszy wyraz naszej pustej, beztreściwej epoki! Dziennikarz — dostawca wiedzy, filozof-eklektyk i kochanek, Armand, Claude Larcher lub Franciszek są ludźmi jednej epoki, która przez potrzebę czynu dotyka wszystkiego, która przez bezsilność próbuje wszystkich form siły ludzkiej i niczego nie zazna, bo próbowanie zużywa, i goni dalej po... uciechy, po... wrażenia. Jak zblazowany systematami filozof, który zosłał filozofem, bo nie mógł być ministrem ani astronomem, szpera myśli innych, analizuje je z nawyku, bez potrzeby życia, myśli, bez gorączki wątpienia lub wiedzy, aby zapełnić jedynie momenty życia najekonomiczniej — kochanek bourgetowski, któremu z kobiety został symbol i wspomnienie, że tam, „czegoś dostać można,“ przechodzi od jednej do drugiej, bawiąc się tym spacerem niby uczuciowym, tą niby potrzebą „spragnionego i niespokojnego serca,“ która jest bezsilnością myśli i czynu. Dzisiejszy „świat“ jest zdolny nawet być doskonałem zwierzęciem. I jak filozof-amator wpada w mistycyzm, krainę błogiego snu i czułych westchnień, Armand staje się tęsknym, smutnym, płaczącym Ahaswerusem kobiety. Bezsilność jest cechą nowonarodzonych lub starców, agonja — nosi cechy narodzenia; lecz nowowstępujący w świat żyje chwilą obecną, bo niema przeszłości, i nie zna przyszłości; zamierający nie pamiętają przeszłości, nie czują przyszłości i uciekają od teraźniejszości. Ztąd ich ideały — to amalgamat żądz chwili, żądz słabych i kapryśnych, to — tęsknota do lepszych światów i namiętność do brudów; to podejrzliwość względem ludzi i smaganie siebie o złość względem nich, to wreszcie poczucie powszechnej nicości i nienasycone pragnienie... pragnień.

Ten świat agonii, zużycia, wyrażający się w dyletantyzmie uczucia, jest tłem powieści Bourget'a i cechą samego autora. Powieść „analizy psychologicznej“ Bourget'a jest opisem fałszywym pewnej małej grupy, która jedenie używa. Jeżeli analizą nazwiemy kilka frazesów gdzie niegdzie rzuconych, o złożoności duszy ludzkiej, wtedy powieść Bourget'a jest analizą; gdy zaś pod analizą psychologiczną rozumieć będziemy rozpatrywanie pierwiastków ogólnych charakteru ludzkiego, powieść Bourget'a, obracająca się w kole ciasnem, w świecie sztucznym i specyalnym, nie jest analizą.

Czem jest właściwie ta niby analiza bulwarowicza i damy wielkiego świata, zobaczymy niżej, gdy streścimy do końca dzieło autora.

Grand-Pré i Croix-aux-Bois z rozkazem zebrania dokładnych wiadomości za jakąbądź cenę.

Dnia poprzedniego, dzięki dobrym chęciom i energii mera z Vouziers, można było rozdać ludziom trochę chleba, mięsa i furażu dla koni i tego ranka, około godziny dziesiątej, pozwolono zapalić ognie i zgotować zupę z obawy, że później może na to nie być czasu. Teraz znowu odjazd nowych wojsk zaniepokoił wszystkich i pozawracał w głowach. Była to brygada generała Bordas, która ruszyła w ślad za huzarami. Cóż się więc stało?... czy armia idzie dalej?... czy znowu nie będzie można zjeść spokojnie i nie wylać strawy, która się w kotłach gotuje!?... Ale oficerowie tłómaczyli ludziom, że brygadzie tej polecono zająć Buzancy, położone o kilka kilometrów dalej. Co prawda, inni przebąkiwali, że huzarzy natknęli się na kilka szwadronów kawaleryi nieprzyjacielskiej i że posyłano brygadę generała Bordas na odsiecz.

Było to kilka godzin odpoczynku rozkosznych dla Maurycego. Wyciągnął się na polu na pochyłości małego wzgórka, na którym pułk biwakował i jakby zmartwiały patrzył przed siebie na tę zieloną dolinę Aisny, na te łąki. kępami drzew ozdobione, wśród ktorych powolnie płynęła rzeka leniwa. Przed nim, zamykając dolinę, miasto Vouziers, wznosiło się w amfiteatr, dachy domów piętrzyły się jedne po nad drugie, a nad niemi wszystkiemi panował kościół z jedną wieżyczką, śpiczasto w niebo strzelającą i drugą kwadratową, kopułą na wierzchu przykrytą. W dole koło mostu wysokie kominy garbarni kłęby dymu wyrzucały, na drugim zaś końcu zabudowania wielkiego młyna, mąką zabielone, widniały wśród zieleni drzew i łąk nadwodnych. I horyzont ten małego miasteczka, ginącego w wysokiej trawie, miał dla niego jakiś urok słodki, czuł, jakby mu wróciły dawne jego oczy, oczy marzyciela, uczuć serdecznych pełnego.

Nie oczy, ale młodość jego wracała, przypominała mu się jego podróż do Vouziers, jaką odbyli niegdyś, gdy mieszkał jeszcze w Chêne, swojej wsi rodzinnej. Przez całą godzinę zapomniał o wszystkiem...

Od dawna już zupa była zjedzona, a oczekiwanie trwało jeszcze, gdy w ten około wpół do trzeciej jakiś głuchy rumor, jakiś niepokój wzrastający z każdą chwilą ogarnął cały obóz. Rozkazy przebiegały w jedną i drugą stronę, kazano opróżnić łąkę, wszystkie wojska wystąpiły i uszykowały się na wzgórkach, pomiędzy dwiema wioskami Chestres i Falaise odległemi od siebie o cztery a może pięć kilometrów. Już saperzy wzięli się do kopania rowów, sypano wały; a rezerwa artyleryi zajęła pozycyę na szczycie najwyższego pagórka. Rozeszła się pogłoska, że generał Bordas przysłał sztafetą wiadomości, że napotkawszy w Grand Pré siły przeważające musiał cofnąć się ku Buzancy, co budziło obawę, aby mu nie odcięto linii odwrotu na Vouziers. To też dowódca siódmego korpusu, przewidując atak natychmiastowy, rozkazał wojskom swoim zająć pozycye odporne, aby mogły wytrzymać pierwsze natarcie i bronić się dopóty, dopóki nie nadejdzie na pomoc reszta armii. Jeden z jego adjutantów został wysłany z listem do marszałka, zawiadamiającym go o sytucyi i wzywającym pomocy. Oprócz tego, obawiając się zamieszania i kłopotu z parkiem wozów z żywnością. który się połączył z korpusem podczas nocy i który ciągnął znowu za nim, generał kazał mu ruszyć teraz naprzód i na los szczęścia naznaczył mu punkt połączenia w Chagny. Widocznie zatem na bitwę się zanosiło.

— A więc, panie poruczniku, to już teraz na seryo!... co!?... — pozwolił sobie Maurycy zapytać Rochasa.

— Nareszcie!... u stu piorunów! — odparł porucznik, machając swemi długiemi rękami. — Zobaczycie zaraz, jak się to ciepło zrobi!...

(D. c. n.).

Franciszek zdołał zapomnieć po dziewięciu latach zerwania o swej „występnej miłości.“ Teraz myśl, że „ona“ mieszka w tym samym hotelu, gdzie on, że dziecko jej jest może jego dzieckiem, otwiera „dawną ranę.“ Franciszek czuje, że szczęście jego jest zagrożone, bo teraz rozpoczyna się „piekło uczuć podwójnych, cmentarny labirynt komplikacyj sercowych.“ Franciszek kłamie przed narzeczoną, poznaje w dziewczynce swoje dziecko a w dawnej kochance dostrzega „ów urok wykwintnej budowy, którą on tyle razy porównywał do rzeźb z Tanagry“ (jednem słowem „w starym piecu djabeł pali). Wreszcie Franciszek wyznaje grzechy młodości Henryce, narzeczonej swojej, która zrywa z grzesznikiem i... nowożytny Mojżesz nie dotknie stopy swemi „ziemi obiecanej,“ po której lud Izraela stąpać będzie. Nie ujrzy jej ponury grzesznik Franciszek, „bo dla jednych wejście w życie prawe (małżeństwo) jest łatwe i bez wysiłku, dla innych nie! Zdaje się, że błędy dawne krępują ich i że mściwa sprawiedliwość zabrania im zdobywać to, co jest udziałem powszechnym i nawet pospolitym.“

Brr! straszne! Rogaci, cieszcie się! Drzyjcie rozpustnicy! Bo „Ona,“ Sprawiedliwość przyjdzie i ziemi obiecanej... niema...

Kiedym przeczytał powieść Bourget'a, pomyślałem: No, jak na ucznia Spinozy, to dość licho. Ani on, ani jego klijentka nie przywiązują specyjalnej wagi do legalnych form pożycia małżeńskiego, wobec tego jednak, że posądzono Bourget'a o tendencyę niemoralną, postanowił on być moralistą surowym, nieprzejednanym. Banalny ten grzech z banalną surowością sędziego podoba się damie, czytelniczce Bourget'a, bo ona wielkich zagadnień nie lubi, ale drobnemi gospodarskiemi zagadkami nie pogardza, tembardziej, że w autorze czuje „un home parfait,“ który cierpi przez Nią, przez kobietę. A kobieta tak lubi, gdy mówią, że cierpią przez nią! Zasilnie może wyraziłem się. Dzisiejsza kobieta jest zbyt wyrafinowaną, by znosić opowieści o cierpieniach przez nią, jej trzeba dać poznać gestem, spojrzeniem, przeczuciem, że się cierpi przez Nią... przez duże N, przez „kobietę.“ Bourget to uczynił i zdobył sobie najlepszego czytelnika, bo kobietę. W literaturze wybija się talentem albo klientelą, klientela podtrzymuje autora. Zola stworzył czytelnika, Bourget go znalazł. Jak ongi Ponson du Terrail tworzył powieści dla „concierge'ów“ a dziś Richebourg pisze dla kucharek, Bourget tworzy dla dam wielkiego świata, lubiących od czasu do czasu literaturę. Bourget, ów elegancki młodzian, który nie lubi mówić „o brudach codziennego życia“ lecz o „Niej,“ o „tajemniczej zagadce,“ o „ziemi obiecanej,“ o „sercu kobiecem,“ które „kłamie,“ „kocha“ i „wieczne zadaje ciosy,“ ów wykwintny psycholog, który pisze, że „każdy nędzarz jest twórcą swej nędzy,“ niegdyś skromnie lekcyjami, doztarczanemi przez stare damy, zdobywał zarobek. I wtedy już czuć było przyszłego twórcę „powieści psychologicznej.“ Ucząc braci i synów, zbadał matki i siostry. Gdy dojrzał, został historyjografem buduarów i mistrzem eleganckich dam; zdobył on kobietę tak, jak ją zdobywają zwykle, pochlebstwem i batem. I on robił „miłość“ i chłostał — nie silnie, nie brutalnie, by nie zrazić na wzór spowiednika damy, robił on „kobiecie“ wymówki, które kończyły się rozgrzeszeniem, bo on „ją zrozumiał.“ Jak spowiednik swej elegackiej grzesznicy pozwoli jeść mięso w piątek i patrzeć na „sprośne zmysłowe zabawy,“ Bourget pozwolił „Jej,“ kobiecie grzeszyć, ale on cierpiał wielce, iż ona grzeszy. Dziś dawna klientela podstarzała się, zmieniła gusta, przewrotna Zuzanna ma już córki dorosłe, a jej dawny amant chce się żenić. Dziś ma jnż ona poważniejsze rozrywki, inne obowiązki, kwestya cudzołóztwa nie wystarcza już, trzeba jej dodać problemat rodzicielstwa. I otóż Bourget jak dawniej dawał pokarm „frivole,“ dziś dostarcza żywności poważnej, „moralnej.“ Jego teza i jej rozwiązanie są jakby odbiciem jednego z tych salonów, gdzie kobiety, które dobiegają czterdziestki, lubią rozpatrywać poważne kwestye macierzyństwa w konflikcie z cudzołóztwem i zawsze są surowemi w swych sądach. Nie są one okrutne i nieprzejednane z przekonania przez złość lub zazdrość, nie, ale dla „decorum“ domu, przez to, że „trzeba przecież zachować moralność“ „że trzeba mieć jakieś zasady.“ Po wyjściu z salonu żadna nie myśli o tych... sprawach, których broniła przed chwilą.

Bourget te rozmowy i te potrzeby starzejących się klientek przedstawił i zrobił furorę między niemi. Czy sam wierzy w prawo, którego bronił? — nie wiem. Wielu się dziwi, że Bourget na kandydata do Akademii się nie podaje. Nie czas jeszcze! jego klientela za młoda na to, by mieć wpływy w gmachu Richelieu. Za lat dziesięć, gdy dzisiejsze damy Akademii (P. Adam i t. d.) ustąpią, pokolenie Bourget'a będzie kierować wyborami, a wtedy ich spowiednik świecki zapomnianym nie zostanie. Dojdzie do fotelu akademickiego łatwiej, niż kowal Zola, który doszedł do sławy talentem, a drzwi akademii wywali siłą opinii publicznej.

Niechaj przykład Bourget'a będzie nauką dla naszych aspirantów do poważnych stanowisk. Liczymy tylu działaczy wśród dam, tylu lekarzy dam, że nie długo podaż będzie większą od popytu. Radzę im przeto na wzór Bourgeta wziąść się do powieści dla bogatej klienteli, zmuszonej czytać dziś francuskie książki. Bo cóż ma zrobić piękna dama?

Rodziewiczówna, Kosiakiewicz zrozumieli zasadę, że talent powieściopisarza polega na szukaniu klienteli, a nie na zrozumieniu sztuki, ale popełnili oni błąd, zwracając się do klientów... demokratycznych. Kosiakiewicz pracuje dla oficyalistów, majstrów, drobnych kupców, niższej magistratury. Rodziewiczówna tworzy dla szwaczek, młodych panienek i starszych panien ze średniej klasy. Jedni i drudzy to biedacy, którzy wolą pożyczyć książkę niż kupić ją, a pleców nie użyczą w wspinaniu się po drabinie społecznej. Esteja, polski Loti — Bourget, po podróżach po Egipcie odbytych w „towarzystwie“ dystyngowanem, lepiej już zrozumiała, gdzie jest czytelnik, lecz jej powieści są zbyt mdłe, zbyt kobiece, by wiele zyskały sympatyi.

A zatem do roboty młodzi „artyści,“ bo „nie brak gruntu, lecz brak rąk do siania“.

M. G.

ERNEST RENAN.

(Kor. „Myśli“).

(Dokończenie).

Paryż, w listopadzie, 1892.

Pod koniec Cesarstwa, Renan zwrócił się do polityki. W r. 1868 wydał „Pytania spółczesne“, w r. 1869 stanął do kandydatury w departamencie Sekwany. Program rozwijany przed wyborcami był bardzo ogólnikowy: „Niepotrzeba rewolucyi, nie potrzeba wojny, postęp, wolność“. O tym postępie i o tej wolności nie szczególne wyrobił sobie świat pojęcie, kiedy w r. 1870 stanął u steru władzy przewódca partyi, do której należał Renan: Ollivier. Przeciwkandydatem jego w r. 1869 był Jouvencel, republikanin; imperyalista przepadł przeciw postępowcowi.

Kiedy wybuchła wojna francusko-niemiecka, Renan razem z księciem Napoleonem podążali ku biegunowi północnemu. Na wieść o niej wrócili obaj, znajdowali się już w Norwegii. Nieco przed wyjazdem Renan ogłosił „Monarchią konstytucyjną we Francyi“, bronił tu zasad monarchicznych. Po wojnie ukazała się jego: „Reforma umysłowa i moralna“, w umieszczonym w niej liście do Straussa uderzył na demokracją i na głosowanie powszechne. Potem udał się do Włoch, gdzie dokończył „Antychrysta“.

Ta sama republika, w którą mierzył dzidą, oddała mu w r. 1870 katedrę języka hebrajskiego. W r. 1878 został przyjęty do Akademii francuskiej, bo miejsce które zajął opróżniło się było po śmierci Claude-Bernarda. W mowie, którą wygłosił podczas wejścia, nie wahał się dolać oliwy do tlejącej od nieszczęsnego roku 1870 nienawiści narodowej: chociaż przedtem zawsze mienił się przedstawicielem nauki niemieckiej, teraz najeżył kolce przeciw Niemcom. Od r. 1870 nauka przestała być międzynarodową...

W ostatnich latach zwrócił się był do dramatu: w r. 1878 wyszedł „Kaliban, dalszy ciąg Burzy Szekspira“, w r. 1886 „Kapłan z Némi“. W tym samym roku został ogłoszony dramat p. t. „Ksieni z Jourarre“. Dwudziestego szóstego lutego 1886 w rocznicę urodzin W. Hugo grano w komedji francuskiej jego „Rozmowę umarłych“. W akademii i przy rozmaitych świętach okolicznościowych wygłosił kilkanaście mów, dość znaczną jest także liczba jego odczytów publicznych. Po skończeniu „Historyi początków chrześcianizmu“, rozpoczął „Dzieje ludu izraelskiego“. W papierach pozostałych po nim znajdzie się zapewne dokończenie tego dzieła, którego pierwszy tom ukazał się w r. 1886, drugi 1889 r. Odbył drugą podróż na Wschód, a Włochy odwiedzał kilkakrotnie.

Pod względem religijnym pozostawał zawsze przy Bóstwie, pod względem filozoficznym był przedstawicielem sceptycyzmu. Wszelka prawda jest względną, twierdził, wszystko jest odcieniem, barw nieznają dzieje ludzkości tylko nuanse. Zdanie to do pewnego tylko stopnia słuszne. W poglądach jego wiele spotyka się sprzeczności, dogmatyzm zaatakował, lecz istotę tego dogmatyzmu pozostawił nietkniętą. „Nie usiłujmy“, pisał, „wygnać legendy, bo są one formami, które z konieczności przyobleka wiara ludzkości. Ludzkość nie jest złożoną z mędrców i filozofów“. Nie tęgi argument. W innem miejscu czytamy u niego: „Prawie widzem będąc w świecie, myśliciel wie, że świat do niego należy tylko jako przedmiot studyów, i że nawet gdyby mógł go zreformować, znalazłby go może tak ciekawym, że niechciałby go zmieniać“. (!!) „Demokracja zaś — głosi Reforma umysłowa i moralna — „sprowadziła na nas osłabienie wojskowe i polityczne, nieświadomość i próżność. Razem z katolicyzmem osłabia ona nasze wychowanie narodowe“. (!) Za największy błąd poczytuje się tu Francyi — zaprowadzenie powszechnego głosowania.

Przy zdolnościach swoich pisarskich mógł Renan wywrzeć wielki wpływ. Mógł być Micheletem lub Wiktorem Hugo Francyi, jednym z mężów, których sława pozostanie zawsze cenną dla ludzkości. „Życie Jezusa“ bodaj czy nie jest jedynym pomnikiem jego sławy.

W. Bugiel.

SPOTKANIE.

SZKIC.

(Dokończenie).

Pół godziny tylko miały czasu między pociągiem, którym przybyły, a tym, którym odjadą dalej, do miasteczka, gdzie ciotka od lat dziesięciu żyje z lekcyj, na drugim końcu kraju.

Przez te pół godziny chciało się przeżyć razem całe zaniedbane, ukradzione sobie nawzajem dziesięć lat życia, których urwane słowa z obu stron zaledwie pozwalały się domyślać, znacząc nieodmiennie powtarzające się wszędzie, zawsze, usiłowania i zawody.

Ciotka wzdychała, kłamała ile wlazło, Hela rumieniła się, aż mi jej żal było, chociaż te rumieńce były świadectwem jej dobroci i zmuszały mnie tem bardziej ją kochać.

I serce moje wzbierało nieznacznie uczuciem dziwnego szczęścia, jakbym odzyskał coś bardzo drogiego, potrzebnego w życiu, do czego miałem prawo, a o czem nie wiedziałem. Uczułem, że się we mnie wypełnia jakiś brak, przejmując mnie dziwnie rozkoszną błogością na myśl, żem spotkał istotę, którą kochać warto, którą kochać trzeba, którą kochać mam prawo i którą też będę kochał, już kocham.

Bracia moi rozprószyli się, rodziców nie miałem oddawna, byłem sam pośród obcych, lecz nienawykły do rozczuleń, anim zauważył, że życie moje pozbawione było serdecznego ciepła stosunków rodzinnych, że część mej istoty spała, bo brakło jej osób bliskich, którym się ufa, o których się myśli, i które się kocha.

Aż oto zdobywałem, jak się zdobywa niezasłużone i nieprzeczute szczęście, Helę, tę młodą, świeżą, tak miłą i piękną siostrzyczkę, która miała w mem sercu i w mej pamięci coś własnego, co do niej należało, do niej tylko jednej oddawna i niewątpliwie, po co przyszła i wzięła to teraz jak swoje: część mojej duszy.

I patrząc na jej prostą, biedną sukienkę, na jej minki skromne i postawę nieśmiałą dziewczyny ubogiej, skrępowanej wszystkiem, żyjącej w niedostatku i w pracy, z rozkoszą pomyślałem, że będę mógł stać sią jej pożytecznym, że się nim stanę.

Tymczasem ciotka, mruknąwszy:

— Trzeba nam będzie pomyśleć o biletach — dodała żywiej, jakby przypominając sobie:

— Ale! byłybyśmy zapomniały o najważniejszem. A toż ty nie wiesz Józieczku, że Helcia wychodzi za mąż.

Hela stanęła cała w ogniu, a ja uczułem, że blednę.

— A jakże — prawiła dalej ciotka. — Po to przecież jedziemy do domu. Zabrałam ją ztamtąd, gdzie była przy dwóch dziewczynkach, do początków. Bardzo jej tam było dobrze... No, ale kiedy się za mąż wychodzi... Co do niego, chłopak bardzo porządny, gospodarny, nauczyciel w szkole o milę od nas, ma tam dom po rodzicach. A kocha Helę?!

— No, spodziewam się! — rzekłem z przekonaniem, udając wesołość, bo myśl, że ktoś Helę ośmiela się kochać, zrodziła we mnie samolubny niesmak.

A ty, Helciu? — dodałem, pochłaniając oczyma wyraz jej oczu i twarzy.

Ciotka za nią odpowiedziała:

— O niej to już nawet nie ma co mówić. Ta waryatka jak się przywiąże do kogo, to już na całe życie. Trzy lata już za nim usycha i gdyby nie jego rodzice, którym się niepodobało, że Hela nic niema, dawnoby już było było po ślubie

Jakiegoż doznałem bólu!...

Do licha, nie zakochałem się przecież w Heli od jednego rzutu oka, jak się to zdarza nadmiernie kochliwym. Byłem zresztą jej bratem. A jednak na tę wieść, że ona wychodzi za mąż, że na nią gdzieś daleko czekają ramiona mężczyzny, który ją kocha, który ją zabierze, że ona sama bardziej niżeli kimkolwiek w świecie, nim jednym w tej chwili jest zajętą, że do niego tylko musi tęsknić i że wszystko z natury rzeczy odsuwa się teraz na ostatni plan w jej myślach i uczuciach, oddanych tamtemu, a ja, który o wszystkiem dla niej zapomniałem w tej chwili, owładnięty uczuciem tak bezinteresownem i szczerem, zaledwie przesuwam się przed jej oczyma nakształt cienia, aby niebawem zniknąć... — na myśl, że w chwili, kiedy mi się zdawało, że ją odzyskuję, zdobywam, traciłem ją w rzeczywistości, zarówno jak utracała ją jej matka — na tę myśl niespodzianą i tak nagle, tak gruntownie niweczącą blask mojej krótkotrwałej radości, doznałem bólu i smutku, który bardzo dobitnie odmalować się musiał w mych oczach, bo najwyraźniej zobaczyłem w spojrzeniu Heli współczucie.

Jakby odczuła, że jej miłość dla człowieka obcego, którego nie znałem, i to zupełne oddanie się tamtemu wówczas, kiedym jej okazał tyle niekłamanego zapału, sprawiają mi wielką przykrość, podała mi rączkę i uścisnęła mocno moją dłoń.

Ja zaś, tłumiąc westchnienie, przytuliłem usta i poraz pierwszy w życiu ucałowałem tę rączkę siostry z takim smutkiem, z taką czcią i taką szczerą tkliwością, że uczułem, jak pocałunkiem tym nagradzam całą przeszłość, zacieram wszystkie złe wspomnienia, zyskuję jej serce.

Z. Niedźwiecki.

Z POWODU SZTUK KONKURSOWYCH.

Piszą nam z Warszawy:

Nieznanemu (w teoryi) autorowi F l i r t u, komedyi, zaleconej do grania przez sędziów konkursowych, a ściągającej na każde przedstawienie sporą ilość osób do miłej i zacisznej widowni Teatru Rozmaitości, wskazałbym świeży pomysł do sztuki następnej, pomysł, z którego ręka uzdolniona i wprawna, kierowana sercem, kochająca prawdę i prostotę, zdołałaby wykrzesać daleko więcej iskier satyry i humoru zarazem, aniżeli z takiego objawu, jak flirtowanie. Igraszki z miłości, zamiana uczucia, które człowiek powinien uważać za najwznioślejsze i najbardziej nietykalne zarazem na zwyczajną grę salonową, targanie lekkomyślnie nerwów swoich, oraz cudzych, jak gdyby one były strunami arfy, która jutro pójdzie na strych między rupiecie bezpożyteczne, to, bezwarunkowo objaw zły, objaw, zasługujacy na skarcenie, objaw, nęcący pisarza. Szczęściem atoli jest on właściwy wyłącznie pewnym epokom, gdzie wyrafinowane użycie zmysłowe dochodzi do szczytów, oraz przesytu równocześnie; jest właściwy tylko niektórym kołom towarzyskim, które same skazują się na wymarcie swem lenistwem, umysłową próżnią, egoizmem bez granic i bez pamięci. Stąd pocisk satyryczny na tarczę, w którą godzi, zbyt szczupły, oraz przestrzeń do przebieżenia zbyt krótka: stąd podstawa psychiczna utworów, wymierzonych przeciwko grzechom nie powszechnym i nie długotrwałym, pozostaje niezrozumiałą dla większości; stąd ograniczona ilość typów na rozkazy autora; stąd pewna jednostajność ich znamion; stąd słaby rozmach etyczny sztuki, oraz ciasny krąg jej oddziaływania.

Flirt niczem wobec plotki! Plotka zaś sroży się od kilku lat w Warszawie, niby zaraza sroga, która zmiata tysiące, tysiącom pobyt na ziemi w czyściec zamienia; nikt przed nią nie jest pewny; mało kto stawia jej odpór należyty; szkód przez nią zrządzonych niepodobna obliczyć. Niczego nie oszczędza, nadgryza wszystko czarnemi, spróchniałemi zębami, zaraża oddechem, zgniłym i zatrutym; plwa na dążności szlachetne, czerni charaktery czyste, czyny proste wykrzywia, ślady swoje znaczy zniszczeniem, co zaś najgorsza, więcej tam bezmyślności, niż braku serca.

Autorowie sztuk konkursowych, zwłaszcza zaleconych do grania, sami na sobie mogą wybornie sprawdzić ostrowidztwo plotki. Jeszcze ich nazwiska spoczywają w nierozdartych dotychczas kopertach, gdy już plotka zdołała przez papier dojrzeć każdą literę, na miasto wybiedz, wiadomość w obieg puścić i tysiąc do niej dorobić komentarzy. Co do odgadnięcia autora F l i r t u, możnaby domyślność plotki od biedy uniewinnić. Pisarze znani mają odrębny styl, wyciskający piętno i na języku i na kompozycyi i na obrobieniu szczegółów; plotce zaś literackiej nie jest znowu literatura na tyle obcą, aby nie potrafiła zdobyć się na zwyczajne porównanie. Ale jakim sposobem — pytam — plotka umiała z dobrze zalepionej koperty wydobyć nazwisko twórcy S z a r e g o ż y c i a, w mgnieniu oka podać do wiadomości publicznej jego rodowód, rysopis, adres, zajęcie? Podała zaś to wszystko tak dokładnie, zaprawiając, oczywista, całość sosem zjadliwych docinków i dla sędziów i dla wybrańca, że większość sprawozdawców teatralnych, nawet tych, którzy dbają zawsze o pozory, nie zawahała się ani na chwilę uprzedzić ogół, jako autor jest człowiekiem młodym, literatem nie z zawodu, S z a r e ż y c i e pierwszym owocem jego natchnienia.

Moi panowie, jakiem prawem twierdzicie, że macie do czynienia z młodzieńcem i debiutantem? A może właśnie jest to mężczyzna dojrzały i starzec? Dla was jeszcze bardziej, aniżeli dla publiczności, autorowie sztuk konkursowych powinni do samego końca pozostać jedną wielką, niewiadomą, nieuchwytną i niecielesną, inaczej stajecie się ofiarami, tudzież gońcami zarazem plotki, zła, które od dłuższego czasu stanowczo wpływa na wszelkie nasze sprawy.

Naokoło ludzi, którzy zaledwie o kilka linij wybili się nad poziom powszedniości, naokoło spraw, które nie są gotowaniem obiadu lub kupieniem pary butów; naokoło zdarzeń, które choć cokolwiek odskakują od szablonu wypadków, drukowanych przez gazety na końcu kroniki petitowemi czcionkami, słowem naokoło wszystkiego niemal — spowijają się dzisiaj całuny plotek, całuny wstrętne, brudne, błotem i żółcią ciekące, całuny, które pomniejszają cnoty, wady wydymają do rozmiarów zbrodni, a zbrodnie — o hańbo! — często zakryć się starają. Rzadko zaś kto posiada odwagę, podobny całun z ludzi i wypadków zerwać, ku temu celowi bowiem potrzeba wysiłku moralnego, o który teraz podobno najtrudniej. Ale jeżeli zdobędzie się na taki wysiłek, wówczas prawie zawsze

z radością się przekonasz, iż pod całunem, sporządzonym językami plotkarzów, stoi człowiek, może nie bez zboczeń, lecz prawy, spoczywa fakt, niepokalany w zasadzie. Iluż to jednak ludzi, ileż to spraw u nas daremnie czeka zmiłowania, aby ktokolwiek dobrej woli przyszedłszy, całun odgarnął!

Rozumiem bardzo dobrze, iż plotka dźwiga na swych barkach prawie tyle lat, co i ziemia sama. Odkąd pojawiła się na powierzchni garść niewiast zgrzybiałych, które muszą poruszać językiem z szybkością kołowrotka, poruszanego żwawo przez młodą gosposię; odkąd istnieją mężczyźni, leniwi, oschłego serca, wązkiej czaszki, skłonni do marnotrawstwa czasu przy kieliszkach i kuflu; odkąd wogóle człowiek zaczął chwytać wszelkie objawy po wierzchu, nie nauczywszy się sięgać rozumowaniem głębiej do przyczyn rzeczy i do przyczyny przyczyn, — od tej samej chwili zaraz urodziła się plotka zła, ostra, lecz zawsze znająca pewne granice, bojąca się światła dziennego, kryjąca się w kątach piwiarni, w ciemnej sieni domów, w kuchni, w garderobie, w jadalni ograniczonych kumoszek. Pod postacią podobną tudzież w owych dziedzinach plotka będzie żyła tak długo, jak długo trzech ludzi (w tem przynajmniej jedna kobieta) ostoi się na świecie.

Zgoła przecież natury odmiennej, zgoła skutki cięższe i wrażenie obrzydliwsze wywiera rodzaj plotek, krążących po Warszawie od lat kilku, i w kołach towarzyskich, i w świecie literackim, i w kolonii malarskiej, i na giełdzie, i w mieszczaństwie i wśród inteligencyi; w owym bigosie plotkarskim znajdziesz każdego i wszystko, jego zaś przyrządzaniem zajmują się przeważnie mężczyźni, których z przyczyny inteligencyi wrodzonej, świetnych ongi zapowiedzi, stanowiska, wpływów jeno żałować należy. Szkoda ich czasu, bezpowrotnie straconego, energii źle zastosowanej, stosunków, wyzyskanych na szkodę ogółu!

A że w moich utyskiwaniach nie tkwi ani źdźbło przesady, dowodem najlepszym przedostawanie się ploteczki do powieści i na scenę. Mógłbym wymienić (nie czynię tego, byle wstrzymać pochód zarazy moralnej przemilczeniem stosownem) dziesiątek utworów beletrystycznych i scenicznych z doby ostatniej, utworów osnutych niemal wyłącznie na plotce i będących prawie w całości klejonką plotek z warszawskiego bruku. Spekulacya to jawna na instynkty plotkarskie czytelników; ten i ów nie mogąc dostarczyć ogółowi wzruszeń estetycznych, nowych, z siebie samego artystycznie wysnutych, daje plotkę, rachując słusznie, że na razie wzbudzi zajęcie. Nieprzyjaciele, a jeszcze prędzej przyjaciele i przyjaciółki literata Zetowskiego, bankierowej Mandelberg, fabrykanta Schwarza, z uciechą wielką przeczytają ploteczkę o łakomstwie pierwszego, próżności drugiej, miłostkach trzeciego, przeczytawszy zaś sami, innym z objaśnieniem szczegółowem, oraz już zabarwionem po plotkarsku, do przejrzenia podsuną. To wszystko zapewnia autorowi klejonki poczytność, pokup, sławę jednodniową, wpływa przecież źle na stan moralności ogółu i na poziom literatury. Wprawdzie krzewiciele plotki w powieści mogą mi zarzucić:

— Katonie, czyż Alfons Daudet nie na tle plotek paryskich osnuwa swe utwory?

Argument to bez wartości! Po pierwsze, odwołanie się do powagi Daudet'a nie znaczy bynajmniej, aby ów wielki powieściopisarz postępował zupełnie dobrze. Po drugie, Daudet jest poetą, umiejącym odszkodować czytelnika za poczęstowanie go plotkarstwem scenami, pełnemi artyzmu, gdzie szlachetne strony natury ludzkiej występują na pierwszy plan. Po trzecie wreszcie, zgoła innemi są plotki, dotyczące Gambetty, Napoleona III, królów na wygnaniu, akademii francuskiej, osobistości, tudzież instytucyj wszechświatowych, w wielkim stylu, i o potężnych wpływach dziejowych, tudzież cywilizacyjnych, innemi zaś ploteczki, szarpiące Zetowskiego, Mandelbergową, Schwarza, których i w Warszawie nie na każdej znają ulicy. Zdaje się tedy, że jasno uwydatniłem różnicę między Jowiszem z Paryża i Daudecikami warszawskimi.

Czy nie istnieje przecież środek, którym możnaby plotkarstwo częściowo wytępić i do przyrodzonego sprowadzić łożyska? Bezwątpienia, mamy go w ręku. Jest nim satyra, nieubłagana, bezlitośna, szarpiąca plotkarzy na sztuki, a ich plotki na sieczkę tnąca, satyra sturamienna, jak ją już przed wiekami nazwano. Powieściopisarze, komedyopisarze, fejletoniści, zwłaszcza wy, fejletoniści, którzy możecie co tydzień zadawać grzesznikom cięgi, a schorowanej publiczności po kropli antydotu, weźcie się wszyscy za ręce i wypowiedźcie wojnę nieubłaganą plotce, tudzież plotkarzom, hulającym obecnie bez wiary i bez wstydu, plotce, która jest równoznacznikiem bezmyślności i plotkarzom, gorszym od psów wściekłych! Jad bowiem tych ostatnich wypalisz żelazem rozpalonem; trucizna, którą zastrzykują pierwsi, raz na zawsze pozostaje tak w pamięci, jak w sercu! [1].

Adam Nowicki.

[1]) Trzecia z rzędu sztuka konkursowa pt.: „Nauczycielka,“ osnuta na tle rehabilitacyi kobiet upadłych, doznała względnie dużego powodzenia u prasy i publiczności. (*Przyp. Red.*)

H. W. RIEHL.

Nowela [illegible] Sonata.

(Dokończenie).

Zapytuje ją więc pewnego dnia, jak jest możebnem, żeby, przy tak uderzającem podobieństwie, siostry tak się między sobą różniły? Panienka odpowiada, że nie zawsze tak było, że w dzieciństwie z siostrą w myślach i uczuciach harmonizowała. „Nagle spadło na nas“, tak brzmi dalszy ciąg odpowiedzi, spadło na nas straszne nieszczęście; widziałyśmy konającego, we krwi własnej kąpiącego się ojca! Miałam wtedy lat szesnaście. Odebrał sobie życie nie dla długów, nie z bojaźni utraty honoru, nie, żyć mu się poprostu nie opłacało. Pod względem materjalnym, jak mało kto był dobrze postawionym, żył jednakże bez celu, bez powołania, jak wielu bogaczów, w ambicyi swojej dążył do osiągnięcia niedoścignionych celów, chciał zgłębić rzeczy niezgłębione; nie wiedział dlaczego żyje, wolał tedy świat i życie pożegnać. Nie był zwyczajnym człowiekiem! Matka ze strachu i bólu zapadła w ciężką śmiertelną chorobę; stopniowo zdrowie wracało, została jednak przez długie miesiące trwająca, melancholja. My córki ją i siebie miałyśmy pocieszać, i tu, wtedy wyszła na jaw cała, niezmierzona różnica naszych usposobień: zpoczątku pocieszałyśmy się każda w inny sposób, ku końcowi żyłyśmy każda w innym świecie“.

Na tem skończyła, a przyjaciel jej dosnuł sobie cały łańcuch niewypowiedzianych przez nią myśli. Przez długi czas ani świat, ani my nie wiemy kim i czem jesteśmy — sposób, w jaki ogrom nieszczęścia znosimy — nas i świat oświeca. Młody człowiek nasz chętnieby dalej, o sposób w jaki się siostry pocieszały był pytał, nie śmiał jednak, czuł bowiem, że dziewczynie z trudem przyszło przez kilka choćby, krótkich niejasnych słów, tajemnicę swej duszy odsłonić. Milczeli tedy oboje! Nagle gra z sąsiedniego pokoju święte to milczenie przerywa. Młodsza siostra gra fantazyję czy też rapsodyję, o dzikich, jedna drugą gnających, pędzących modulacjach. Przed godziną młody człowiek tę muzykę, jako muzykę genjalną, byłby podziwiał, teraz słyszy tylko jeden, jego myśli i uczucia przerywający, przeszywający dysonans. Nie mogąc znieść strasznego kontrastu, żegna się i spieszy do domu. Zdaje mu się, że namiętne dźwięki, które w jego najpiekniejsze sny, niby upiór, się wdarły, które nim jak febra nerwowa wstrząsnęły, przedewszystkiem innemi si zażegnać tonami i w sobie samym musi muzykalną zaprowadzić równowagę, zanim znowu jasno na świat spojrzeć zdoła.

Siada tedy do fortepianu i przypadkowo pod palce nasuwa mu się stara melodja, której od lat wielu już nie słyszał, a którą, będąc chłopięciem, grywał. Jest to krótki motyw, sześć ósmych, presto, E moll. Harmonizuje z niepokojem grającego i młody człowiek czuje, że ta muzyka, to balsam, gojący jego rany, echo, w którem brzmią jego lata dziecinne. Przypomina sobie wreszcie, że to, co go tak zachwyca jest pierwsza część sonaty E moll Haydna. Dawno to już zarzucona, wraz z kajetami szkolnemi w kąt ciśnięta sonata, długo więc długo jej szuka, wreszcie znajduje. Każda nuta jest mu znaną, całość jest mu obcą! Spoczątku gra aby grać, coraz jednakże więcej się wgłębia i o kompozytorze, kompozycyi i fortepianie zapomina. Zdaje mu się, że słyszy głos skromnej, powabnej starszej siostry, zdaje mu się, że w tych tonach ona mu wszystko o czem przemilczała, a o co on pytać nie śmiał, opowiada, że mówi, jak nieszczęście znosiła, jak pokój i zgodę wywalczała, jak w sobie — siebie samą znalazła. Dawniej nie zrozumiał owego ciągle stopniowo potęgującego się nastroju uczucia w tym bezpretensjonalnym utworze: straszne zwątpienie w urwanych frazesach pierwszej części, rozmyślanie w częstych przerwach i pauzach, bezowocna walka o wolniejszy, szerszy, swobodniejszy prąd myśli, na wpół przebrzmiewające, na wpół przytłumione pytanie, którem się ta część kończy, wszystko to teraz dopiero pojmuje. A dalej Adagio w miękkiem G Dur, niby elegja z tym samym zawsze pytającym akcentem, przerywane przez napływającą falę gamm i arpedzij, bez zakończenia przez kilka urwanych akkordów do pierwotnej minorowej tonacyi wracające, z której to tonacyi i finał bezpośrednio się rozwija. Już nie namiętna boleść, nie ciężka melancholja przemawia z tego Adagia, ale tęskna, pełna miłości rezygnacja, dziecięca prawdziwie ufność w Najwyższego, który i boleść ku dobru naszemu zwrócił. A tak zrozumiana, muzyka wogóle charakter religijny nosi. Teraz zabrzmiewa finał — molto virace, ale niewesoło, a niewinnie, — innocentemente, — jak pisze kom-

pozytor. Z ciągłych zmian Moll na Dur, z możliwie skromnej formy krótkich melodyj z łatwemi, skromniutkiemi waryacjami przemawia spokój i pojednanie i cicha łza. Jest to tak dziecinnie łatwe a przytem tak trudne w wykonaniu! Grający musi umieć śpiewać dziecinnym, czystym, pełnym niezmąconego pokoju głosem, jak dziecię musi śpiewać!

Bohater nasz znalazłby był taki sam proces rozwoju uczucia, bogaciej i potężniej odmalowany, w sonatach Beethovena, ale jakaś ręka opiekuńcza to stare, skromne dziełko na pamięć mu nasunęła. Bo w Beethovenie słyszałby nie zapominającego i każącego o sobie pamiętać mistrza — w Haydnie nie myślał ani o kompozytorze, ani o jego geniuszu, ani o jego artyźmie! On słyszał opowiadającą dziewczynę, dowiedział się, że nieszczęście natchnęło ją, która niby artystką nie była, duchem cichej rezygnacyi i wiarą w boską harmonję świata, jak wszystkich prawdziwych artystów; pseudo-artystkę, jej siostrę, nieszczęście natchnęło duchem pesymizmu, jak wielu manierystów. Co nastąpi w naszem opowiadaniu łatwo się domyśleć! Młody człowiek przeżył i odczul nowelę, która go zapomnianej i pogardzanej sonacie przywróciła, a podczas gdy w sonacie poznawał zasadnicze myśli nowelistycznego nastroju, tu rozwiązywał psychologiczny węzeł swojej noweli. Podczas gdy tę nowelę harmonijnie kontynuował, grał pilnie sonaty, i jednocześnie zauważywszy, że przeżył słabą, nieudatną, jednostronną nowelę, do całej nowelistyki powziął wyraźną niechęć. Odkrył bowiem, że cała nowelistyka nowoczesna wogóle ten sam, co jego własna nowelka, ma niedostatek: występują w niej osoby, które z niczem innem, jak ze swemi uczuciami, myślami i humorami do czynienia nie mają, które się kochają, lub nienawidzą, uciekają lub żenią. Taka nowelistyka jest karykaturą, a wiemy jak bohater nasz karykatur się boi. Do całej więc nowelistyki powziął wyraźną niechęć.

Młodzieniec nasz żeni się. Z młodzieniaszka staje się człowiekiem, poznaje poważną pracę i w starciach religijnych, politycznych i socjalnych niejedną jeszcze znajduje nowelę. Taki charakter noweli przypada mu do smaku, przezwycięża więc swoję do nowelistyki niechęć, i sam wzbogaca literaturę wielu nowelami jędrnej, a bogatej treści. Bohater żywej noweli pogodził się tedy z nowelą drukowaną.

Na małych ołtarzach często święty ogień prawdy i piękności najczystszym pali się płomieniem. Tu też najusilniej powinno go się podtrzymywać, a, kto w sztuce prawdy i piękna w maluczkiem poszuka, temu prawda i piękno i w tem, co wielkie, się objawią.

TEATR.

„Pierwiosnki" obrazek sceniczny Kordyana Ujejskiego (Szreniawy). — „Febris aurea" Z. Sarneckiego. — Występy p. Frenkla na scenie krakowskiej.

Dyrekcyi krakowskiego teatru należy się niewątpliwie uznanie, że, obok trywialnych, acz pełnych wesołości, fars w rodzaju „Powietrza wielkomiejskiego" i „Domu warjatów", które stanowią może plus w kasie teatralnej, lecz niezawodnie minus w dorobku scenicznym — wystawiła bezpretensyonalny, a jednak pełen wdzięku i piękności poetyckich obrazek p. Szreniawy (Kordyana Ujejskiego) p. t. „Pierwiosnki". Czytając — jeśli się nie mylę — rok temu bluetkę tę w „Świecie" Sarneckiego, mimowoli zastanowić się musiałem nad dziedzicznością talentu poetyckiego, nad niezwyczajnem w sferze ducha zjawiskiem, że lutnię po ojcu — objął syn. Trudno oczywiście po jednej próbie ferować stanowczy wyrok o jakości talentu p. Kordyana i twierdzić, że potrafi on godnie zatrzymać w swem ręku sztandar muzy ojcowskiej — to przecież już dziś powiedzieć można, że p. Ujejski wziął w moralnej po twórcy „Skarg Jeremiego" spuściźnie talent rzetelny.

„Gdy ci skrzydeł Pan Bóg nie dał, latać ci nie trzeba,
Patrz po ziemi: w kroplach rosy, znajdziesz obraz nieba".

P. Szreniawa buja daleko na skrzydłach fantazyi, cofa się w czasy minione, doskonalsze, w epokę Rzeczypospolitej, kiedy to ludzie jeszcze nie kłamali miłości i wiary, nie tworzyli systemów kochania, bo ono było szczere, żadną obcą naleciałością nie zabarwione. W tej właśnie prostocie, w tym braku tak wszechwładnego dziś konwencyonalizmu, który zabagnia uczucia i wierzenia dawniejsze — tkwi piękno a co za tem wartość „Pierwiosnków". Mniejsza o stosunek — według mnie psychologicznie nie bardzo uzasadniony — p. Laury do Stasia, dość jeno posłuchać dyalogu między Tosią a Stasiem, a już cię ogarnie jakieś sympatyczne tchnienie poezyi dwojga kochających się serc, poezyi nie robionej, lecz natchnionej, beznamiętnej. Postacie kochanków narysowane są wypukle i plastycznie. Stasia bałamucą może wdzięki kokietki — Laury, ale serce jego należy niepodzielnie do siostrzenicy p. Rolskiej. „Pierwiosnkom" przyznaję przedewszystkim dużą wartość literacką, acz i pod względem scenicznym niewiele można obrazkowi p. Szreniawy zarzucić.

Dziwnym zbiegiem okoliczności wypada mi teraz mówić o b. redaktorze „Świata", który się pono pierwszy poznał na „Pierwiosnkach" i nie bez powodu przypisuje sobie prawo nazywania p. Kordyana swoim „chrześniakiem" literackim.

Otóż, po latach wielu, dwudziestu z okładem, wznowiono w teatrze krakowskim komedyę p. Zygmunta Sarneckiego p. t. „Febris aurea".

Czy dobrze i rozumnie postąpiła dyrekcya, strzepując pył biblioteczny z manuskryptu autora „Nad ranem"?

Mojem zdaniem — stanowczo dobrze i rozumnie.

Wprawdzie „Gorączka złota" nie jest osnutą na tle modnych dziś i nieodłącznych prawie kwestyj: cudzołóstwa i dziedziczności zwyrodniałych, anormalnych instynktów, mimo to jednak sięga wgłąb bardziej, nie kiedykolwiek palącej sprawy: genealogji pieniądza, tej marnej mamony, która stanowi, niestety w wielu wypadkach o znaczeniu socyalnem ludzi, budzi dla nich szacunek, otacza jakby aureolą, nietykalnością.

Nie wszyscy, oczywiście, wzbogacają się, jak bohater Sarneckiego (Gałdziński) krzywdą spraw najświętszych, bo tyczących całego narodu — nie zmienia to wszelako zasadniczego pojęcia przedmiotu, gdyż tendencya, znajdująca swój wybitny wyraz w pytaniu: „Kto cię rodzi, dukaciku"? pozostaje jednaka wśród takich warunków, jakie nakreślił autor, lub zgoła odmiennych. P. Sarnecki stworzył „Febris aurea" pod wrażeniem wypadków styczniowego powstania, dlatego Gałdzińskiego zrobił nietylko przeniewiercą, lecz i zdrajcą narodu. Gdyby sztukę był napisał później — pewnie źródło i podstawę skarbów p. Grzegorza stanowiłyby: kontrabanda lub szczęśliwe a kolidujące z kodeksem „operacye finansowe;" zaznaczam to w tym celu aby czytelnikowi wskazać jądro sztuki, jej społeczną doniosłość, która mimo ćwierć wiekowego niemal istnienia, bynajmniej się nie zestarzała. Iluż bo znamy poważnych i poważanych obywateli, kupców i przemysłowców, na których widok nasuwa się mimowoli zapytanie: „Panie kochany, masz pono krocie, imponujesz światu, nikt jednak nie wie, jakiego pochodzenia jest twój dukat lub rubel. W księdze bogaczy jesteś parwenjuszem, możebyś się więc wylegitymował, gdzieś ten skarb znalazł lub zdobył?"

Pytań takich nie wygłasza się głośno, aby nie zrażać sobie „możnych a wpływowych" — rozbrzmiewają one z cicha, choć nie prędko milkną. Być może, że p. Sarnecki napisałby dziś sztukę lepszą pod względem faktury scenicznej, jako doświadczony kierownik teatru, ale lepszego tematu, podatniejszego materyału chybaby i obecnie nie znalazł. Pomijam tu treść „Febis aurea," gdyż ważność i wartość komedyi polega nie na tem, że hr. Juljusz kocha się w Leokadyi Gałdzińskiej, którą zaślubia pod warunkiem, iż ojciec — (przeniewierca) jego narzeczonej opuści kraj na długie lata, chciałbym tylko zwrócić jeszcze uwagę na kilka typów, które się autorowi znakomicie udały. Do takich należą: Szalwiński, niezrównane faktotum Gałdzińskiego, zdolne do wszystkiego dla zdobycia grosza, prawdziwe „pendant" do swego chlebodawcy; dalej wyborny pupilek cioci hr. Skarbnickiej — książe Lili, kochliwy idyota, wreszcie panna Teodora, nauczycielka, zwykła lafirynda, polująca na bogatego męża.

Artyści nasi zasłużyli sobie na uznanie tak w „Pierwiosnkach" jak i w „Febris aurea". W sztuce p. Szreniawy należy się szczery poklask paniom: Siennickiej, Siemaszkowej i Trapszównie, z których pierwsza rolę dojrzałej kokietki, druga rolę Stasia, trzecia zaś Tosi odegrały z prawdą i artyzmem.

W „Febris aurea" postacie Teodory i Leokadyi znalazły dobre przedstawicielki w paniach: Siennickiej i Trapszównie, z panów zaś: Siemaszko, Sobiesław, Solski i Śliwicki stworzyli (każdy z osobna) doskonałe typy.

— W ostatnim tygodniu gościł na scenie krakowskiej znany artysta warszawski, ulubieniec publiczności lwowskiej i krakowskiej: p. Mieczysław Frenkiel, dziś epigon niezapomnianego Żółkowskiego w Roznaitościach. W p. Frenklu podziwiam głównie jednę zaletę, która starczy za wiele innych: umiejętność wydobywania najwspanialszych efektów, za pomocą środków najpierwotniejszych, jak grymasu, giestu lub maski. W „Teściu" np. odruch ręki, towarzyszący słowom: „Jeszcze jeden koniak" wywołał frenetyczne, a całkiem zasłużone oklaski, kiedy innym razem cała scena mija bez wrażenia. Nie byłem na „Jowialskim" i dlatego ocenić nie mogę, ile prawdy mieści się w zarzutach wytwornego krytyka p. K. G. („Czas"), czynionych p. Frenklowi, z powodu nie wniknięcia w intencye Fredry i braku wewnętrznego komizmu w interpretacyi szambelana, na jedno przecież z p. K. G. zgodzić się trzeba, mianowicie na wyrażony przezeń żal, że znakomity artysta warszawski nie ukazał się nam np. w Synu Giboy'era lub w innej poważniejszej sztuce, w którejby mógł szerzej rozwinąć bogactwa swego talentu i sztuki aktorskiej.

Józef Bornsztein.

RUDOLF J. KRONBAUER.

PAMIĘTNIKI SEKUNDARYUSZA.

Z czeskiego przełożył Wojciech Szukiewicz.

(Ciąg dalszy).

Nagle schwycił mnie ktoś z tyłu za rękę. Oglądam się. Przedemną stoi córka młynarza w kaftanie, zapiętym od dołu aż do piersi.

Pod białą koszulką rysują się jasne kontury pięknych piersi.

„Kto to? — Kto umarł?"

„Emilja G...."

„Emilja? Panie doktorze, ja mam także na imię Emilja — może również umrę?"

Czem są wszystkie kwartety Beethovena wobec muzyki jej głosu, którym wypowiedziała te słowa? Nie odpowiedziałem, gdyż właśnie wszedł do pokoju dyrektor. Dozorczyni odprowadziła dziewczę do jej izby. Po wizycie odprowadzono wszystkie chore do ich cel. Dwaj słudzy odnosili zwłoki nauczycielki

na skromnych marach. Pod białem prześcieradłem nie było prawie znać jej. Jeden ze sług powiedział: „Ta ci dopiero leciutka — jak piórko.“ Już byli w drzwiach, kiedy jasny głos z korytarza zawołał.

„Z Bogiem, Emilko, spij słodko!“

W drzwiach stała nasza klasowa pupilka, machając ręką na pożegnanie. Biedna matka zanosiła się od płaczu. Drzwi się zamknęły... chore wychodziły jedna po drugiej na korytarz jako pszczoły z ula. Z jednej celi dolatywała smutna pieśń. Byłto głos czysty jak srebro. Z najodleglejszego kąta usłyszałem całkiem wyraźnie śpiewane z chrapliwym głosem: „Wieczne odpocznienie racz jej dać, o Panie, a światłość wiekuista niech jej świeci, amen.“

* * *

Ostatniego listopada.

Całe trzy tygodnie nie wyszedłem nawet przed zakład. Przez ten czas umarły dwie chore; przedwczoraj miały pogrzeb „Padające gwiazdy.“ Dziś wieczór umarła jedna ze staruszek, obsiadujących piec.

Wieczorem zatrzymałem się u p. Emy, aby się zapytać, co jej mam nazajutrz dać na obiad.

„Eh — choćby nic,“ powiedziała niechętnie, nawet nie spojrzawszy na mnie.

Nie powiedziawszy słowa wychodziłem z pokoju. Była blisko szósta godzina. Wisząca lampa rzucała pełne światło na jej postać, leżącą niedbale na kanapie.

„Panie doktorze!“ zatrzymało w drzwiach mnie jej wołanie.

„Czego sobie pani życzy?“

„Bądź pan tak łaskaw ściągnąć mi buciki z nóg.“

Krew uderzyła mi do głowy. Nie wiedziałem w tej chwili, co mam robić. Najchętniej byłbym odszedł, powiedziawszy jej, że nie wypada odzywać się w taki sposób do doktora. Zauważyłem, iż czeka na spełnienie jej życzenia. Wyciągnęła piękne nóżki w czarnych pończoszkach tak, iż je było widać aż po kolana. Przy tem leżała spokojnie i niedbale na kanapce, śpiewając półgłosem: „Powiedz mi mój Jasiu, za coś się tak rozgniewał?“ Czułem jak mi krew w żyłach kipi a skronie palą jak ogniem. Widziałem bujny pęk rozplecionych włosów, przerzuconych przez piersi, wyzierających z pod kaftana jak dwie płonące lampy. Na honor, zdaje mi się, że się modliłem w tej chwili; właściwie, że natężyłem wszystkie siły, aby się opamiętać.

„Jestto chorobliwa zachcianka — gdybym jej nie uczynił zadość, może by się zbyt rozgniewała,“ łagodziłem swoje wzruszenie, przystąpiłem do niej, ukląkłem i zdjąłem z nóg buciki.

„Ściągnij mi pan jeszcze pończochy.“

Zdaje mi się, że zbladłem w tej chwili; ręce mi drżały jak złodziejowi przy kradzieży. Obejrzałem się trwożliwie ku drzwiom, bojąc się śmiertelnie, aby kto nie wszedł w tej chwili. Przed ściągnięciem pończoch musiałem odpiąć podwiązki. Pamiętam dobrze, iż przytem nie dotknąłem wcale jej nóg. Alabastrowe białe jej nogi oślepiły mnie jak błyskawica.

Wstawszy uczułem silny zawrót głowy.

„Dobranoc pani!“ powiedziałem pozornie całkiem obojętnie, tymczasem dech mi zamierał w gardle. Bałem się samotności, właściwie sam siebie i dla tego poszedłem do pokoju gry. Ale tym razem nie zajmował mnie nawet baron.

To, co mi się dzisiaj przytrafiło, nie jest niczem tak szczególnem i niezwyczajnem. Ileż razy zdarzały się rzeczy o wiele osobliwsze, ileż razy spełniałem życzenia chorych bodajby najdziwaczniejsze, a zawsze czyniłem to chętnie i z uśmiechem. Dlaczego właśnie dzisiaj jestem tak wzruszony — nie wiem co to jest, lecz mi się niemal na płacz zbiera. Wstałem i wyszedłem ze sali gry, nie pożegnawszy obecnych mężczyzn, czego nigdy uczynić nie zaniedbałem. Ubrałem się i poszedłem do miasta. Była to godzina siódma. Dokąd iść? Do teatru — hm — po cóż tam? Zadużo ludzi zebranych, a ich spokój i napięta uwaga, z jaką się przysłuchują, drażniłyby mnie. Zrobiłem dziesięć, dwadzieścia planów, odrzucając jeden po drugim. Przebiegłem kilka ulic jak obłąkany, i po godzinie wróciłem do domu.

„Panie sekundarjuszu, panna Ema pytała się już o pana trzy razy,“ oznajmiła mi dozorczyni przy wstępie na korytarz.

„Czego sobie życzy?“, spytałem pospiesznie. Gdyby dozorczyni była na mnie spojrzała, byłaby spostrzegła, że zbladłem widocznie.

„Nie wiem, panie doktorze. Kiedy się ją pytałam, czego sobie życzy, wypędziła mnie z pokoju.“

Rozebrawszy się poprawiłem wąsy i włosy i udałem się do chorej.

„Dobry wieczór pani!“ powitałem ją czystym — dźwięcznym głosem, który miał zastąpić pytanie:

„Czegoż sobie pani znowu życzy?“

„Dziękuję panu za to, żeś przyszedł. Gdzieżeś pan był tak długo? — bawiłeś się pan, czyż nie prawda?“

Głos jej brzmiał smutno i marząco. Siadła na łóżku, podsunęła poduszki pod ścianę i oparła o nie głowę. W tej chwili przedstawiała obraz szczególnie piękny. Jasne jej oczy patrzyły marząco przed siebie, a koło ust igrał ten cierpki uśmiech, którego człowiek może nigdzie indziej nie zobaczy, jak tylko w tych murach. Uśmiech ten jest niezawodną i pewną wskazówką, że przez głowę obłąkanego przeciągnął powiew jasnej świadomości.

„Cóż to za dziewczyna z kwiatkami w ustach na pańskim stole?“, zaskoczyła mnie z nienacka szczególnem pytaniem.

Nie zamykam nigdy pokoju, zostawiając klucz we drzwiach od zewnątrz, Wśliznęła się widocznie podczas mej nieobecności do mego kawalerskiego pokoju i ujrzała wszystko.

„Nie wiem, pani; zapomniał ją poprzedni sekundarjusz.“

„Zapomniał? — to nie ładnie, prawda, panie doktorze?“

„Nie ładnie,“ powiedziałem z naciskiem, który mnie samego zadziwił.

„Boże! — tak mi dziś jakoś smutno — doznaję uczucia, jakby mnie coś tłoczyło i dusiło,“ skarżyła się dziewczyna tak smutnym głosem, że aż mi się nieprzyjemnie zrobiło.

„Taka tu martwa cisza — jak w klasztorze, nikt się nawet nie uśmiechnie, wszyscy są tak ponurzy, nikt nie śpiewa, a mnie tak tęskno za młynarską pieśnią, za głośnym szumem szluz i szmerem wody, przeciskającej się przez szczeliny jarów. Cóż tam robi nasz nadmłynarz — to rozkoszny człowiek. Cały dzień śpiewa jednę piosnkę: „Góro, góro, jesteś wysoka,“ a ile razy nadarzy mu się sposobność, musi spłatać jakiegoś figla. „Ach, Boże! jakże mi smutno — panie doktorze, pan masz tak przyjemny głos, mów pan cokolwiek.“

Rozmyślam, czem bym ją mógł najlepiej zabawić, kiedy ona tymczasem zapomniała już o swem życzeniu nucąc jakąś wesołą piosenkę! Patrzę na nią jak odurzony — porwałem się gwałtownie z krzesła a w paroksyzmie chwilowej i niewytłomaczonej rozpaczy zawołałem; „Boże, toż jest z twej strony okrucieństwo!“ Dwie gorzkie łzy wytrysły z mych oczu. Cierpiałem niewypowiedziane męki a dotąd nie zdawałem sobie sprawy dla czego. Spoglądam na nią i widzę, jak oczy jej jasno wprawdzie, ale bez wszelkiego wyrazu patrzą w koło siebie. Te wielkie, czarujące oczy są jakby szklanne, ani śladu w nich jakiegoś głębszego uczucia. Idą na ślepo w ślady straszliwego obłąkania.

„Panie doktorze — proszę mi wyrównać poduszki, abym się mogła położyć.“

Matka nie może pilniej usłużyć swemu dziecku, niż to ja jej uczyniłem. Kiedym równał poduszki za jej głową, pogłaskała mnie miękką ręką po włosach.

„Masz pan delikatne włosy — moje są bardziej szorstkie.“

Przy tych słowach rozrzuciła piękne swoje włosy na poduszce, kładąc głowę na pościel z jakiemś małem znużeniem. Spoglądała na mnie z bolesnym uśmiechem.

„Prawda, żem ładna?“

„Bardzo“, rzekłem ogniście.

„Pocałuj mnie, doktorze,“ powiedziała cicho, oczy jej błysnęły a ramiona wyciągnęły się ku mnie. Pochyliłem głowę, jej ręce objęły mnie a usta namiętnie całowały.

Potem odsunąwszy mnie, za kilka minut usnęła.

Oparłszy głowę o poręcz łóżka, rzewnie zapłakałem. Potem ukląkłem przy łożu, zanurzyłem głowę w jej włosy i modliłem się tak, jak nie modliłem się nigdy od czasów dzieciństwa, klęcząc przy łóżku matki...

Boże, Boże, co znaczy ta moja modlitwa?

* * *

Przez całą noc oka nie zmrużyłem. Przestronny pokój zdawał mi się ciasnym i wąskim, jakby się wszystkie jego ściany zwaliły na mą głowę. Byłem wolny a jednak zdawało mi się, że jestem więźniem i że mym dozorcą jest własne sumienie. Cóż się to stało w sąsiednim pokoju przed kilku godzinami? — co? Kto mi da odpowiedź? Byłoż to tylko współczucie, litość, byłże to jedynie czysty, niepokonany czyn miłosierdzia czy też namiętność? Sam się przeraziłem tego słowa. Nie, to nie podobna — to nie była namiętność. A więc cóż to było? Dlaczego drżałem i trząsłem się na całem ciele, kiedy mnie przed południem tak obojętnie prosiła o zdjęcie bucików i ściągnięcie pończoch? Dla czego nie drżałem przed rokiem lub kiedy indziej, gdy młode i piękne dziewcze odkryło przedemną swą panieńską pierś żądając, abym się przyjrzał, czy niema na nich ognistego znaku w postaci krzyża? Czarowna, różowawa barwa jej płci nie rozgrzewała mnie bardziej od nagiego marmurowego posągu. Zauważyłem jej delikatną postać, lecz patrzenie to było podobne do patrzenia na obraz, który niedbale przeglądamy mówiąc: „To ładna praca,“ i nic więcej. A nie była to dziewczyna zwyczajna, tuzinkowa — przeciwnie modrooka, miła i uśmiechnięta blondynka, o której można było z całą pewnością powiedzieć, że wyzdrowieje za pół roku. Na dzień przed jej wyjściem ze zakładu bawiłem się z nią swobodnie i bez przymusu — dla czego zawsze i we wszystkich okolicznościach zachowywałem wobec niej rozumną rozwagę jak stary, białowłosy lekarz?

Cóż się to ze mną dzieje? Dla czego tra-

wię długie dni i wieczory właśnie w tym pokoju, skąd w jedną stronę jest widok na pusty, szary ogród, a w drugą drzwi, prowadzące na drugie puste i szare miejsce, na korytarz? Dla czego unikam towarzystwa, dla czego już od kilku tygodni nie wychodzę do miasta między ludzi? Z przerażeniem spostrzegam, że blisko czternaście dni nie miałem gazety w ręku, choć mi ją dozorczyni przynosi co dzień rano razem z kawą.

Zatrzymałem się na środku pokoju, jak gdyby mnie te objawy swym ciężarem do ziemi przygwoździły. Dla czego nie jadam obiadu z mymi współtowarzyszami na dole a każę sobie przynosić jadło na górę? Jak się to stało, że nie byłem dotychczas ani razu w teatrze, na który tak się cieszyłem i dla którego przyjeżdżałem co najmniej raz na miesiąc z Kosmonos do Pragi? Kiedy indziej pilnie czytywałem; każda nowa, nasza czy obca książka sprawiała mi największą rozkosz — a cóż przeczytałem przez ten czas, będąc tu, że tak powiem, u źródła wszelkich nowości? Nic, zgoła nic — ba, nawet nie wyjąłem dotychczas książek z paki. Jak je w Kosmonosach ułożyli, tak leżą do dziś dnia.

Co mówi o mnie świat? Że jestem samotnik, przesadzony dziwak i pedantycznie sumienny, uczciwy lekarz. O mnie, który ongi byłem przy zegarku towarzyskiej zabawy wahadłem, mówi się jak o człowieku, nie mającym po za swą służbą i obowiązkiem zmysłu do niczego innego.

A to nie prawda, to straszna nie prawda i kłamstwo.

Pamiętam jak raz poklepał mnie dyrektor po ramieniu i rzekł: „Panie kolego — z latarką szukać równego wam w sumienności lekarza.“ Ja mam być wzorowym lekarzem? Gdybym nie miał przypadkiem na swym oddziale wzorowych dozorczyń, nie wiem jakby to było. Prawda, wszędzie jest porządek, czystość, na nasz oddział nie było najmniejszej skargi, lecz to wszystko nie moja zasługa, nie moja praca i wysiłek. Posuwa się to naprzód mechanicznie, z przyzwyczajenia, ponieważ musi tak iść a nie inaczej, jak niezepsuta machina, dobrze wysmarowana i przez lata wypróbowana, Cóż właściwie ja przy tem wszystkiem robię, gdzież znać wyłącznie moją czynność, moje zdolności, moją sumienność, wytrwałość i uczciwą dążność przyniesienia tym ludziom ulgi w ich ciężkim losie i przyczynienia się ze wszech sił do ich wyzdrowienia? Nigdzie — tak nigdzie, spojrzyj gdzie chcesz i zapytaj kogo chcesz. Dziwię się, że dozorczyni dawno już nie mówi o mnie: „Ten nowy sekundarjusz właściwie nic nie robi. Rano wstaje dosyć późno, przy wizycie nie przemówi ani słowa, chodząc z dyrektorem od chorej do chorej jak piąte koło u wozu, potem wraca do swego pokoju, chodząc po nim tam i z powrotem po kilka godzin; jeżeli potrzebuję czego, lekarstwa czy porady, muszę wszystko po trzy razy powtarzać nim zrozumie, czego chcę.

„Ale do panny Emy zagląda co chwila....“

„Nie — tego może nie mówi — jakiem prawem...

Przeląkłem się swych własnych myśli.

Nagle wzdrygnąłem się i spojrzałem wdal, jak lunatyk. Miałem wprawdzie otwarte oczy, ale niczego w koło siebie nie widziałem i nie rozpoznawałem. Dusza, w której się dokonywał ogromny przewrót, pracowała z natężeniem wszystkich sił. Każdą myśl, powstałą w mym rozpalonym mózgu, wypowiedziałem głośno. Szczególny to objaw ale łatwy do pojęcia. Głowa pracuje niezmiernie szybko i gorączkowo, jedno silne, potężne wrażenie następuje po drugiem a ich ekspenzywność jest tak wielka, że trzeba utworzyć jakiś wentyl. i człowiek mówi na głos.

W nieubłagalnem sekcjonowaniu swego stanu duchowego doszedłem do miejsca, którego sam się uląkłem.

Po co i z jakiej przyczyny odwiedzam ją prawie co godzina? Dlaczego nie chodzę tak regularnie i sumiennie do innych cel, gdzie przecież także znajdują się chore, któreby moje częstsze odwiedziny bardzo pocieszyły, wzmocniły i odświeżyły? Ile razy byłem na przykład u chorych, w ostatniej izbie? Wszystkiego dwa albo trzy razy! I to jest sumienność? Nie, to nie jest sumienność, to jest nie do wybaczenia karygodne zaniedbywanie chorych, których jestem jedyną ochroną, i że tak powiem ojcem, matką, księdzem—wszystkiem.

Dwadzieścia ośm chorych zaniedbuję a wszystek swój czas i — każdą myśl poświęcam jednej osobie — Jak to długo potrwa, co... Nagle zdaje mi się, że usłyszałem za ścianą, gdzie śpi **ona**, krzyk. W tej chwili zapomniałem o wszystkiem, ociężałość mą odpędziła obawa. Przyłożyłem ucho do ściany i słucham z uwagą. W tej chwili wstrzymałem oddech.

Usłyszałem drugi krzyk przestrachu jak to bywa często, podczas ciężkich, groźnych snów. Błyskawicznie ściągnąłem z nóg buty, włożyłem pantofle, otworzyłem drzwi i cicho wszedłem do sąsiedniego pokoju. Wszystko było dokoła pogrążone w głębokim, spokojnym śnie. Zapomnieli zapalić lampy w rogach — korytarz wyglądał jak grób. W pokoju sąsiadki paliła się na stole przy oknie mała olejna lampka nocna. Chwilę paliła się jasno, potem knot nasiąkał olejem a płomyk utrzymywał się na samym końcu w postaci gwiazdeczki. Wtedy robiło się w pokoju prawie całkiem ciemno.

Stanąłem przy drzwiach, oddychając ciężko choć prędko. Nogi drżały podemną tak, że z trudnością się na nich utrzymać mogłem. Przy innych okolicznościach wyszedłbym hałaśliwie ze swego pokoju, biegłbym szybko tam, gdzieby mej pomocy potrzebowano, potarłbym zapałkę i zaświecił wiszącą lampę. Świętym i nieodwołalnym obowiązkiem każdego lekarza jest spieszyć z pomocą każdej chwili, w dzień i w nocy. Idąc tu, do niej, choćby w nocy, spełniam swą powinność. Słyszałem wołanie trwogi, skonstatowałem, skąd wychodziło i szedłem za głosem bez względu na to, gdzie i u kogo to jest. Lecz dla czego cicho i bez skrzypnienia otworzyłem swe drzwi, dla czego szedłem na palcach przez korytarz i dla czego zauważyłem, że wszystko wokoło mnie spoczywa snem twardym? Dla czego stoję tu jak złoczyńca i drżę na całem ciele? Wiem dobrze o tem, choć się nie widziałem, że byłem śmiertelnie blady. Obfite krople zimnego potu wystąpiły mi na czoło, mrożąc jak lód.

Opanowywałem się wszelkimi sposobami. Co się to ze mną dzieje? — co się dzieje? — Czyż jestem mordercą albo złodziejem, czyż nie mam prawa wejść tu? Gdyby tu ktokolwiek teraz wszedł, pozdrowiłby mnie i zapytał: „Już jej lepiej?“ Wielki Boże, czy się nie staję chorym na duchu!

Myśl ta obudziła mnie z gorączkowego marzenia.

Ściągnąłem gwałtownie wiszącą lampę na dół, aż łańcuszki zabrzęczały. Potarłem zapałkę, zaświeciłem lampę i podniosłem do góry. Robiłem wszystko rozmyślnie gwałtownie i prędko, aby wogóle słychać było jaki dźwięk, łoskot.

„No tak — czego się boisz? — wszakże jesteś tu obecny jako **lekarz**,“ uciszałem i usprawiedliwiałem swą wzburzoną myśl.

Jasne światło rozlało się po całym pokoju. Spojrzawszy na łóżko, o mało się nie zatoczyłem. Oczy, zdrętwiałe i nieruchome, jak szklanne soczewki, tłomaczyły straszny stan mej duszy. Uczułem w samem sercu ostre, głębokie ukłucie. Bez woli i mimowoli załamałem ręce. Dziewczę spało cicho, spokojnie, jak dziecko w kolebce. Regularny, wolny oddech wprawiał w rytmiczny ruch jej piersi jak lekki wietrzyk wieczorny kwiat wodnej lilji na powierzchni jeziora. Długie, jak turmalin czarne jej włosy spłynęły z poduszki na piersi, z której podnosił się wierzchołek białego łona, jak gołębica z ciemnego świerku. Niebiańsko spokojna jej twarz uśmiechała się tak błogo, jak twarz dziewicy, słuchającej po raz pierwszy gorących, pełnych miłości słów. Wierzchnie pokrycie leżało małą nóżką zwinięte w drugim końcu. Ciało jej, równo wyciągnięte falowało jak najpiękniejszy, najczystszy ton. Z całej postaci jej unosiła się czysta, nieskalana dziewiczość jak woń ze zagonu rozkwitłych róż.

„Nie, nie, to niemożliwe, to nie prawda, że ten anioł jest szaleństwem dotknięty“ — szeptałem chcąc, odwrócić straszną rzeczywistość, rwącą mi serce, wysuszającą mózg. — W tem widzę, że usta jej poruszyły się z lekka.

Dziewczyna szepcze coś przez sen:

„Chodź, kochanku, chodźże bliżej.“

(Dok. nast.)

POKŁOSIE LITERACKIE.

Życie syzyfowe, powieść przez Józefę Szebekównę. Warszawa. 1893. Nakład T. Paprockiego.

Autorka, mało dotąd znana w beletrystyce, snuje swą powieść na kanwie szarej doli chłopskiej: opisuje koleje życia Wincentego Lacha, który przywiązany od młodych lat do taczki roboczej, wyrósł na fornala. Biedne i nieszczęsne jest życie Witka! Pan uwiódł mu dziewczynę, inny znowu dziedzic, roztrwoniwszy majątek, przywłaszczył sobie także uciułane w pocie czoła przez Witka grosiwo. Dla dopełnienia czarnego obrazu, każe autorka swemu bohaterowi „uledz wypadkowi“. Młockarnia pozbawia Witka ręki. Zbiedzony kaleka wraca do rodzinnej wioski o żebraczym kiju i umiera na barłogu.

Powieść p. Szebekówny napisana jest językiem barwnym i poprawnym.

Autorka umie podpatrywać szare życie chłopa; najdrobniejszy rys nie uchodzi bystrego oka obserwatorki. Nie jest to zapewne powieść tendencyjna w szerszem rozumieniu, ale wierny, psychologicznie odczuty obraz doli „chama“, któremu p. Szebekowna nie szczędzi gorącego współczucia. Jest w tej książce sentyment a ni[illegible] ma ckliwości.

Napoleon przez K. Bleibtreua, spolszczył [illegible] Nowicki. Warszawa. Nakładem księgar[illegible] Teodora Paprockiego i Ski. 1892.

Do niezliczonej ilości dzieł, jakie od czasu gdy „On“ na wyspie Śtej Heleny umarł, uka-

zały się i ukazują się jeszcze ciągle, a mających za przedmiot życie i czyny „Jego“ — przybyła jeszcze jedna książka, pióra Niemca, Karola Blęibtreua. Autor obrał sobie za przedmiot badań nad geniuszem Napoleona rok 1814, rok wielkiej narodowej wojny, jaką Francya stoczyć była zmuszona z przymierzem czterech państw kontynentu i Anglii, kiedyto Napoleon, po bitwie pod Lipskiem, wyrzucony znowu w granice dawnej Francyi, bił się niemal na „noże“ o utrzymanie cesarskiej korony. Autor umyślnie wybrał sobie ten pamiętny rok, aby zastanowić się nad geniuszem „przy jego pracy zawodowej“, a porównując dokumenty wojskowe ocenić „Go“ niejako ze stanowiska zasadniczej taktyki. Czyni to Bleibtreu z wielką znajomością rzeczy, z pietyzmem opisuje każdy krok, każde posunięcie się wielkiego wodza, nie przypisuje Napoleonowi ani jednego strategicznego błędu, polemizuje z autorami, krytykującymi tego wojownika, zwycięstwom przysparza blasku, klęski tłomaczy opieszałością podkomendnych, źle wykonywujących polecenia cesarza, przedstawia bystrość tegoż w korzystaniu z każdego błędu wroga, wśród których wódz pruski Blücher zwany „generał Naprzód!“ odznaczał się talentami i odwagą. Wreszcie sprawdza liczbowo siły zbrojne przeciwników, ilość zbiegów, rannych i zabitych w każdej bitwie, oraz otrzymywane posiłki, z czego dowiadujemy się, że Napoleon wszędzie i zawsze co najmniej z trzykroć razy silniejszym bił się wrogiem. Autor kreśli nam z życiem i barwnie sylwetki — choć z punktu czysto militarnego — wodzów stron wojujących: więc Ney'a „najdzielniejszego z dzielnych“ z przydomkiem „księcia Moskwy“, Mortmonta dobrego żołnierza, o ile słuchał rozkazów cesarza, dystyngowanego Macdonalda, Victora, Gudinota, oraz Berthiera. Z wodzów strony przeciwnej jedynie Blücher znajduje uznanie u autora, natomiast York, Szwarcenberg, Sacken, Wrede, Winzingerode, Lichtenstein, a szczególniej „mazgajowaty“ Szwarcenberg ostrej poddawani są krytyce. Od Stycznia do Kwietnia, od Brienne do Fontainebleu, od bitwy pod La Rothiere aż do złożenia korony nieodbiega ani na krok Bleibtreu od czynów Napoleona, widząc w nim i sławiąc nie — jak to Lanfrey i H. Taine uczynili — wcielonego „Molocha“ okrutnika i wojownika, bijącego się aby się bić, ot tak dla przyjemności; ale geniusza przez Opatrzność zesłanego w stulecie rozłamane na dwoje i pozbawione wszelkiej jedności, ale człowieka o twarzy tak cesarskiej „jakiej nie miał żaden z imperatorów Romy starożytnej“. Książka p. B. w istocie swej bardzo dobra, nie jest jednak wolną od różnych „ale“. Otóż po każdym rozdziale zamieszczone są „uwagi,“ w których znajdujemy zbyt dowolne i naciągnięte przypuszczenia, ot raczej twierdzenia napewno, o tem coby się m u s i a ł o stać, gdyby wypadki na inne poszły tory. W stosowaniu takich hipotez — zwłaszcza w wypadkach wojny — należy być bardzo ostrożnym — twierdzić stanowczo, że n. p. Blücher m u s i a ł b y zrobić to a to, gdyby Napoleon nie zrobił tego ...go, co znowu wywołałby następstwa takie ...ie — nie zdaje nam się właściwem w pracy ...ważnie pisanej jak niniejsza. Natomiast za autora, który tego nie zrobił, pozwolimy sobie na jedno przypuszczenie. Gdyby dnia 4 Kwietnia r. 1814 Napoleon kazał aresztować zdradzających i opornych marszałków, dowództwa rozdał młodszym jenerałom i nieskładawszy korony, wojnę prowadził dalej, poruszywszy — co miał zamiar — Lenée er masse narodu, innąby była dziś karta Europy. Pewności w tem jest choć trochę, w przypuszczeniach autora jej niema. Wreszcie musimy nadmienić, że w kilku miejscach jest wzmianka o legii nadwiślańskiej, sześciuset ułanach hr. Paca i o piechocie Chłopickiego pod rozkazami generała Dąbrowskiego. Ten ostatni po zdradzie marszałków pozostał cesarzowi wiernym, co autor należycie podnosi. Książka napisana doskonale, czyta się z prawdziwym zajęciem. Przyczynia się do tego niemało wzorowe tłumaczenie dokonane przez p. Adama Nowickiego, znanego literata i dziennikarza. *Z. P-vi.*

Jak się obchodzić z nerwowymi? Przepisy i uwagi Dra Th. Korniga; wedle oryginału opracował Dr. Al. Fabian. Nakład T. Paprockiego i Ski. Warszawa 1893.

Znane są powszechnie nomenklatury dzisiejszych czasów. Jedni nazywają je okresem „walki o byt“, drudzy „wiekiem nerwów“. Wszyscy chorujemy na nerwy, zwłaszcza inteligencja nie jest wolną od tej choroby „fin de sieclu“. Lekarz niemiecki Dr. Kornig poszedł śladem głośnego profesora Kraft-Ebinga (który jak wiadomo, skreślił znakomicie charakterystykę życia wielkomiejskiego, tak podatnego do rozwoju chorób nerwowych) i pokusił się o napisanie vade-mecum dla cierpiących na nerwy. Ludzie dzisiejsi ustępują dawniejszym pod względem zdrowia, uczucia, zadowolenia wewnętrznego, wesołości itd. Stali się oni niewolnikami współczesnych stosunków, cywilizacyi, która prze ich do życia gorączkowego, namiętnego i rozstraja wskutek tego system nerwowy. Autor wylicza środki, jakie zmierzają jeśli nie do radykalnego usunięcia choroby nerwów, to przynajmniej do jej stopniowego uśmierzania, mówi więc o potrzebie dłuższego wypoczynku, normuje czas snu, wyjaśnia znaczenie ćwiczeń i wprawy w pracy, upatrując w tem źródło zwiększania się nerwowego kapitału, dalej zachęca do tworzenia komunikacyj cichych i łatwych, do zakładania bruków bez turkotu, do bezdymnego opalania i ogrzewania domów, również w pracy zawodowej, której się człowiek oddaje z zamiłowaniem w lubowaniu się tworami prawdziwej sztuki i poezyi w lekturze niezbyt realistycznej upatruje autor skuteczne na nerwy lekarstwo.

„Dziecko i rodzina“ przez Dra E. Haufego, wskazówki kształcenia domowego dla matek. Warszawa 1893. Nakład T. Paprockiego i Ski.

Wyszło świeżo z pod prasy, w przekładzie z niemieckiego dziełko dra E. Haufe'go pod tyt.: „Dziecko i rodzina“, zawierające wskazówki kształcenia domowego dla matek. Autor, znany pedagog, dzieli się długoletniem doświadczeniem z czytelnikami, podając rady zdrowe i zbawienne, do których ścisłe stosowanie się wydawało zawsze owoce pożądane. Wskazówki, udzielane przez autora, dotyczą zarówno wychowania dzieci drobnych, jak i wyrostków. Za zasługę należy poczytać drowi Haufe'mu, że w całej jego książce niema ani jednego twierdzenia paradoksalnego, co do którego zbawienności w zastosowaniu praktycznem mogłyby być zdania podzielone. Unikając wywodów ryzykownych, mających jaką taką wartość wątpliwą, autor podaje jedynie pewniki natury prawie aksyomatycznej. Na szczególną uwagę zasługuje rozdział o książkach dla dzieci, gdzie wytrawny pedagog radzi kierować duszę i umysł dziecka ku rzeczom idealnym, nie mającym nic wspólnego z dzikim materjalizmem, święcącym jeszcze dotąd tryumfy. Rada ta jest uzasadniona krótko, lecz nader przekonywająco. Książka dra Haufego jest napisana żywo i barwnie, co jest wielką zaletą w dziełach tego rodzaju, które, aby plon pożądany przyniosły, muszą być czytane przedewszystkiem przez kobiety, nie lubiące, jak wiadomo, suchego, ciężkiego przedstawienia rzeczy. W końcu zaznaczyć należy, że tłómacz „Dziecka i rodziny“ występuje miejscami samodzielnie, przerabiając oryginał w celu uwzględnienia stosunków swojskich.

Estetyka przez Eugenjusza Verona. Przeł. z franc. A. Lange. Warszawa. 1892. Nakładem T. Paprockiego i Ski.

Rzecz ta zasługuje na obszerniejszą, wyczerpującą ocenę, którą niebawem umieścimy w „Myśli“. Na razie zaznaczamy, że książkę swą podzielił autor na 2 części. W pierwszej podał ogólne zasady estetyki, w drugiej zaś zastanawia się szczegółowo nad rzeźbą, architekturą, tańcem, muzyką itd. Tłómaczenie wzorowe.

PIOTR CHMIELOWSKI.

(Notatka dorywcza, z powodu Jego 25-letnich z literaturą godów).

W tych dniach upłynęło ćwierć wieku od pierwszych występów Piotra Chmielowskiego na polu piśmiennictwa. Nazwisko Chmielowskiego jest znane każdemu, choćby tylko średnio wykształconemu czytelnikowi książek i czasopism naszych. Główną a wielką zasługą Piotra Chmielowskiego są prace w zakresie dziejów literatury, szczególniej nowszych czasów, oraz krytyki utworów świeżo ukazujących się na półkach wydawniczych. Znaczny zasób różnorodnej wiedzy, systematyczność rozumowania, sumienność i gruntowność w badaniu, sąd pełen bezstronności i spokoju — składają się na to, że wnioski i wyroki Chmielowskiego są uważane za decydujące o wartości omawianego przezeń utworu literackiego lub jego twórcy. Gdy się nadto zważy pracę ogromną, z narażaniem niemal zdrowia własnego, przestaje być dziwnem, iż zajął stanowisko naczelne pomiędzy współczesnymi krytykami i historykami literatury. Trudno nam w pierwszej chwili skreślić pełny profil i dać wyczerpujący, krytyczny obraz działalności zasłużonego pisarza, uczynimy to kiedyindziej, dziś zaś ograniczymy się jedynie na kilku danych biograficznych i wymienieniu najważniejszych prac pisarza, obchodzącego srebrne wesele z wybraną i ukochaną przezeń gałęzią nauki.

Piotr Chmielowski urodził się w r. 1848 w Zawadyńcach w gub. Podolskiej. Gimnazyum ukończył w Warszawie w 1866 r., poczem wstąpił do Szkoły Głównej na sekcyę klasyczną wydziału historyczno-filologicznego. Pomiędzy innemi słuchał wówczas wykładów Aleksandra Tyszyńskiego, znanego krytyka literatury. Będąc na drugim kursie, wystąpił

po raz pierwszy publicznie w *Przeglądzie Tygodniowym* ze sprawozdaniami z literatury niemieckiej i polskiej, potem zaczął umieszczać swe prace w *Bibliotece Warszawskiej*, pomiędzy któremi w okresie od 1868 do 1871 r. szczególnie odznacza się przegląd zbiorowy tłómaczeń polskich Cycerona i Horacego. W r. 1870 przełożył dziełko H. Brugsch'a „O powstaniu i rozwoju pisma." Po ukończeniu kursów (ostatniego już po przekształceniu Szkoły Głównej na uniwersytet), był przez rok nauczycielem domowym na wsi, poczem wrócił do Warszawy i został nader czynnym współpracownikiem i współredaktorem *Niwy* i *Opiekuna Domowego*. W owym czasie napisał „Genezę fantazyi," szkic psychologiczny (w *Niwie* 1872 r. i osobno 1873 r.), „Dom i Szkoła" (w *Opiekunie Domowym* 1872 r.), oraz „Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego" (1873 r., drugie rozszerzone wydanie 1881 r., trzecie 1886 r.).

W r. 1873 i 1874 studyował w Lipsku psychologię, pedagogikę i filozofię i uzyskał tam stopień doktora filozofii za rozprawę p. t.: „Die organischen Bedingungen der Entstehung des Willens" (Warunki organiczne powstawania woli), studyum fizyologiczno-psychologiczne, wydane w Lipsku 1874 r. W tymże czasie wyszły, staraniem *Opiekuna Domowego*, dwie książki Chmielowskiego treści pedagogicznej: „Co wychowanie z dziecka zrobić może i powinno," Wskazówki postępowania z dziećmi na doświadczeniu i nauce oparte, 1874 r., i „Książka do czytania dla dzieci," opatrzona wstępem, 1875 r.

Po powrocie do Warszawy drukował w *Niwie*, *Gazecie Polskiej*, *Kłosach*, *Bluszczu*, *Ateneum*, *Encyklopedyi Wychowawczej* między innemi następujące rozprawy z dziejów filozofii, literatury i oświaty:

„Pierwszy uczeń A. Comte'a w Polsce," „Józef Kremer," „Karol Libelt," studya o Z. Kaczkowskim, „Dziesięć lat z dziejów wychowania w Polsce," „Listy A. E. Odyńca z podróży," „Tadeusz Czacki," „Czasopisma dla młodego wieku," „Goethe," i inne.

Do przekładu dzieła M. Carriere'a: „Sztuka i literatura w XVIII i XIX w." dodał „Pogląd na poezyę polską w XIX stuleciu" (1879); w tymże roku z E. Grabowskim przełożył „Historyę literatury angielskiej" H. Hettner'a. W r. 1878 wydał osobno: „Rousseau, w setną rocznicę zgonu."

Wiele hałasu w prasie wywołała jego książka p. t. „Zarys literatury polskiej z ostatnich lat 16-u," (Wilno 1881, drugie wydanie, dociągniete do lat późniejszych, ze zmienionym odpowiednio tytułem, w Warszawie 1886). W r. 1882 wydał w Wilnie „Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi." Od r. 1880 jest redaktorem *Ateneum*, gdzie umieszcza obok pomniejszych większe studya, jak: „Debiuty powieściopisarskie," „Ludwik Sztyrmer" i t. d. W *Bibliotece najcelniejszych utworów literatury europejskiej*, wydawanej przez Lewentala, a kierowanej przez Chmielowskiego, ogłosił między innemi, wstępami i objaśnieniami zaopatrzył „Wybór poezyj" Naruszewicza i „Poezye" Jana Andrzeja Morsztyna. Nadto redaguje „Historyę literatury powszechnej," brał udział w wydawnictwie „Złotej przędzy," pisze do „Wielkiej Encyklopedyi Ilustrowanej" Sikorskiego, *Wędrowca*, *Tygodnika Ilustrowanego* (obecnie o Józefie Korzeniowskim).

Do prac, osobno wydanych w ostatatnich latach, należą: „Autorki polskie wieku XIX„ (1885), „Studya i szkice z dziejów literatury polskiej" (1886), „Nasi powieściopisarze" (1887); do najcenniejszych wszakże wydawnictw, w całej dotychczasowej działalności Chmielowskiego, należy jego dwutomowe studyum o A. Mickiewiczu (1886), oraz J. I. Kraszewskim (1888).

MISCELANEA.

Literatura.

*** Konkurs dramatyczny im. Wołodkowicza został rozstrzygnięty. W posiedzeniu brali udział pp.: Dr. Adam Asnyk, Zygmunt hr. Cieszkowski, Dr. Karol Estreicher, Dr. Konstanty Górski, Apollo Lubicz, Ludwik Michałowski, Dr. Ignacy Rosner i Henryk Sienkiewicz. W głosowaniu o nagrodę w kwocie 500 złr. padło sześć głosów na dramat historyczny p. t. *Zwalczeni*, jeden głos na komedyę w trzech aktach p. t. *Fredzio* i jeden głos na sztukę historyczną w pięciu aktach p. t. *Sto lat temu*. Tak więc nagrodę konkursową otrzymał czteroaktowy dramat historyczny prozą; „*Zwalczeni*." Po otwarciu koperty okazało się, że autorką nagrodzonego dzieła jest panna Helena Ceysinger, zamieszkała w Michalewie, w guberni lubelskiej.

Sąd konkursowy nadto zalecił do grania następujące sztuki: 1) *Fredzio*, komedya w trzech aktach prozą p. Stanisława Graybnera. 2) *Książę Henryk*, dramat z dziejów Szląska w pięciu aktach prozą p. Bronisława Grabowskiego. 3) *Romans hrabiny*, dramat w pięciu aktach prozą Wincentego hr. Łosia. 4) *Sny Tereni*, komedya w czterech aktach prozą, p. Zygmunta Sarneckiego. 5) *Sto lat temu*, obraz dramatyczny w pięciu aktach prozą. p. Jana Załęgi.

Jak się dowiadujemy, pisze „Czas," nagrodzony dramat panny Ceysinger, osnuty na tle walk o niepodległość Dalmacyi z Wenecyą, przedstawia pierwszorzędne piękności poetyczne. Siła języka, barwność obrazów, dramatyczność akcyi, a nadewszystko owiewający całość urok prawdziwej, szczerej poezyi pozwalają stwierdzić, że konkurs im. Wołodkowicza wydał rezultat bardzo dodatni, bo wyprowadził na jaw nie znany, a wielki talent poetycki. — Zaraz po wyniku głosowania zawiadomiono autorkę o tryumfie, odniesionym na konkursie. Nagrodzoną sztukę będzie musiała autorka w niektórych punktach przerobić, aby jej zapewnić powodzenie sceniczne. Uwagi, jakie w tym względzie uczyniono w ciągu obrad sądu konkursowego, zestawione zostaną w sprawozdaniu: dla odczytania i uchwalenia sprawozdania zbierze się sąd konkursowy raz jeszcze na ostatnie posiedzenie.

*** Dr. Antoni J. (Rolle) obdarzył nas nową, już VIII seryą swych prac dziejowych, a mianowicie: pięciu „sylwetkami historycznemi," ogłoszonemi pod firmą Gebethnera w Krakowie i Br. Rymowicza w Petersburgu. Szczególne zajęcie w tych przeważnie, którzy rozkoszowali się trylogią powieściową H. Sienkiewicza, budzi „sylwetka" p. n.: „Państwo Wołodyjowscy," a mianowicie: Jerzy (w powieści Michał) i Krystyna (w powieści: Barbara) z Jeziorkowskich pierwszego ślubu Świrska, drugiego Kondracka, trzeciego Ćwilichowska, czwartego Wołodyjowska wreszcie Dziewanowska. Bardzo zajmującą jest również ostatnia sywetka heraldyczno-etnograficzna p. t.: „Powstanie nazwisk rodowych u ludu małoruskiego.

*** W Krakowie zaczęło wychodzić dwa razy na miesiąc nowe pismo ekonomiczne, rolnicze i handlowe p. t.: *Ziemia*.

*** Dr. Jan Karłowicz wydał niedawno w Krakowie pracę p. t.: *Entwurf einer neuen Notenschrift* (Projekt nowego sposobu pisania nót), w której wykazuje wady dotychczasowego sposobu pisania nót i proponuje nowy, odznaczający się prostotą, a mimo to zadość czyniący wszelkim wymaganiom twórczosci muzycznej. P. Karłowicz, którego znamy po wykszej części jako ludoznawcę i filologa, studyował także gruntownie muzykę podczas pobytu swego za granicą w latach 1857—1860, a w r. 1864 1871 ogłosił w Warszawie dwa wydania przekładu *Zasad harmonii* E. Richter'a (z dodaniem teoryi harmonicznej Weitzmana i chorałów polskich); dzieło to było przyjęte przez Instytut Muzyczny warszawski. Co się tyczy ostatniej pracy o reformie pisania nót, drukował ją autor już w r. 1876 (po angielsku) i 1878 (po francusku), lecz oba te wydania nie były oddane do handlu księgarskiego. Najnowsze wydanie niemieckie różni się zupełnie od poprzednich w rozdziale o oznaczeniu wartości nót. Praca ta wkrótce ma się ukazać w Warszawie także w języku polskim.

*** W bibliotece warszawskiej J. E. ks. arcybiskupa Popiela znajduje się „biały kruk" pod postacią księgi ilustrowanej z r. 1538 ks. T. Tretera, dotyczący żywota kardynała Hozyusza. Na żądanie kilku muzeów i bibliotek zagranicznych, ilustracye odfotografowano i już wysłano na miejsce.

*** „Przeglądu Emigracyjnego' Nr. 10. wyszedł we Lwowie i zawiera: Nowa kolonizacya polska w Brazylii. Korespondencya z Curiby nap. B. Emigracya z wschodnich prowincyi monarchii pruskiej nap. A. Parczewski. Odkrycie 4-tej dzielnicy (ciąg dalszy). Uroczystości Kolumbijskie w Chicago — olbrzymi pochód. Otwarcie Biblioteki i Muzeum polskiego w Chicago. Odezwa o przesyłaniu czasopism i książek dla rodaków na obczyźnie.

*** Londyńskie Athenaeum zamieściło w zeszycie z lipca r. b. sprawozdanie z trzynastu literatur, w tej liczbie i z polskiej, za drugą połowę r. 1891 i pierwszą 1892. Sprawozdawca, A. Bełcikowski, poświęcił wzmiankę obchodowi 25-letniej działalności literackiej E. Orzeszkowej, następnie ocenił utwory J. Zacharyasiewicza, T. Jeske Choińskiego, M. Gawalewicza, Estei, Rojana, Ćwirka, A. Konara, M. Krechowieckiego, E. Orzeszkowej, W. Łosia, W. Marené, M. Pawlikowskiego, J. Łętowskiego i wielu innych. Z prac naukowych zaznaczył „Dzieła" Wł. Spasowicza, „Historyę języka bułgarskiego" A. Kaliny, „Patrycego Nideckiego" M. Morawskiego, tom V „Historyi arcybiskupów i biskupów gnieźnieńskich" Korytkowskiego Chełmickiego „Z Brazylii", „Pamiętniki" hr. Olizara, „Szkice z XVIII st." K. Waliszewskiego i prace K. Bartoszewicza, I. Finkla, Popiela i A. Sokołowskiego „O konstytucyi 3 maja.„

*** Edward Jelinek, sympatyczny pisarz czeski, wydał w ostatnim czasie kilka prac. Niedawno wyszła opowieść jego „Motyl z norskè pohádky" (z ilustracyami Artura Szeinera). W tygodniku Svietozor wyszła tegoż autora rozprawa „O Gołuchowie" hr. Działyńskiej w Ks. Poznańskiem i obszerniejsze wspomnienia „O Zakopanem" (z ilustracyami W. Eljasza i St. Witkiewicza). W końcu wydrukował Jelinek w Wiestniku czeskiej Akademii nauk sprawozdanie z powieści Elizy Orzeszkowej „Bene nati," która jednocześnie wychodzi w przekładzie czeskim J. Paulika.

*** Autor „Ogniem i mieczem" ukończył świeżo opowiadanie p. t.: „Antea."

*** Maupassant, którego wyzdrowienie podają lekarze francuscy w największą wątpliwość, świadomy jest swego stanu. Woła on często: „Gdzie moje myśli, gdzie moje myśli?!“... i szuka tych myśli zgubionych po wszystkich kątach pokoju. Znajduje je wreszcie. Są to motyle. Czarne — to myśli smutne, jasne — to myśli wesołe, złote — to symbol sławy. Wyobraźnia obłąkanego powieściopisarza zachowała dawną poezję, poezję pełną zawsze głębokiego pesymizmu.

*** St. Rossowski napisał przepiękny prolog pt.: „Zmierzch i świt,“ który odegrali amatorzy-akademicy na przedstawieniu jubileuszowem lwowskiej „Czytelni akademickiej.“

*** Jan Kasprowicz wydrukował w „Głosie“ ładny urywek z większego poematu pt.: „Amor-vincens.“

*** Artur Oppman (Or-ot) utalentowany poeta, drukuje w Krakowie dwa tomy swych utworów poetyckich.

*** Nowe krytyczne wydanie „Poezyj“ Mickiewicza ukaże się wkrótce pod redakcyą Dra H. Biegeleisena, nakładem jednej z księgarń lwowskich.

*** „Prawda“ warszawska ukończyła w swym fejletonie druk przekładu najnowszej i najznakomitszej pracy Arne Garborga, twórcy „Chłopskich studentów,“ pt.: „Znużone dusze“ (Müde-Seelen). Świetnego tłómaczenia, pozwalającego odczuć i przeniknąć ducha utworu i piękności oryginalnej formy dokonała p. Malwina Pozner-Garfein. „Znużone dusze“ wyjdą w oddzielnej odbitce, nakładem księgarni T. Paprockiego i Ski.

*** Na posiedzeniu wydziału filologicznego Akademii umiejętności, podał Dr. Józef Tretiak treść swej ciekawej rozprawy p. t. „*O wpływie Mickiewicza na poezyę Szewczenki.*“ Autor oparł swe wywody na rozprawach prof. Daszkiewicza, Iw. Franka i na artykułach tegoż w *Kraju* w r. 1885. P. Tretiak nie podziela zdania Franka o pokrewieństwie duchowem między Improwizacyą Adama a „Perebendią“ Szewczenki, gdzie upatruje raczej wpływ Bohdana Zaleskiego. Z dumek Szewczenki zaledwie w dwóch „Połubotko“ i Irzaweć dostrzegł Dr. Tr. wpływ twórcy „Dziadów“.

Malarstwo i rzeźba.

*** W Rzeszowie stanął piękny pomnik A. Mickiewicza, dłuta znanego artysty-rzeźbiarza p. Romana Lewandowskiego.

*** Znany estetyk, prof. Maryan Sokołowski wydał obecnie rozprawę o „Erazmie Kamynie, złotniku poznańskim i wzorach przemysłu artystycznego w Polsce w XV i XVI w.

*** Zawiązał się w Krakowie komitet z p. W. Pruszkowskim na czele dla postawienia pomnika Grottgerowi na plantacyach.

*** Munkaczy kończy swój wielki obraz, przeznaczony do nowego gmachu parlamencie w Peszcie. Obraz ten ma 15 metrów szerokości, a 6 metrów wysokości, a Munkaczy, który obecnie mieszka w Paryżu, musiał sobie kazać wybudować osobne atelier w Courbevoie. Obraz przedstawia obóz madziarów, za panowania Arpada. W środku płótna widać wysłanników pierwotnych mieszkańców, Słowian, którzy ofiarowują Arpadowi symbole poddaństwa: wodę z Dunaju w zielonych garnkach i ziemię. Z jednej strony stoją orszaki wojowników, z drugiej kobiety madziarskie w namiocie. Dzieło to wielkiego mistrza węgierskiego ma być jednem z najwspanialszych, jakie dotąd stworzył.

*** Na wystawie krak. Towarzystwa sztuk pięknych urządzoną będzie w b. m. wystawa obrazów Stasiaka.

*** PP. Tadeusz Błotnicki i Stasiak otwierają w Krakowie szkołę malarstwa i rzeźby dla kobiet.

*** Na wystawie sztuk pięknych odbytej tego lata w Medjolanie, jak donosi medjolański *Corriere della sera*, otrzymała honorową odznakę rzeźba dłuta p. M. Zawiejskiego, przedstawiająca tryumfalnie oglądającego się dżokeja (*Il Fantino*).

Teatr i Muzyka.

*** W Burgu wiedeńskim wystawiono nowa sztukę Keima: „Die Spinnerin am Kreuz,“ Stadtteater zaś komedyę Ganghofera: „Na wysokości (Auf der Höhe).“

*** Pół wieku obecnie upływa od chwili zainaugurowania przedstawień w dzisiejszym budynku teatru krakowskiego komedyą wierszem w 3 aktach Dmuszewskiego pt.: „Barbara Zapolska.“ Działo się to 1 stycznia 1843 r. Dyrekcya teatru krakowskiego urządza w dniu 31 br. jubileuszowe przedstawienie, na którem odegraną zostanie sztuka śp. Dmuszewskiego.

*** Na przedstawieniu, urządzonem przez dyrekcyę teatru krakowskiego w dniu 29 z. m. ku uczczeniu pamięci Mickiewicza — widownia świeciła pustkami.

Publiczność krakowska przepada za płytkiemi farsidłami, natomiast uwielbienie dla największego z Wieszczów narodowych stwierdza tradycyonalnie nieobecnością na pamiątkowych spektaklach.

*** W ubiegłym miesiącu odbyły się w Krakowie trzy większe koncerta: sympatycznego Tow. „Lutni,“ kompozytorski Z. Noskowskiego i Kolbergowski, t. j. na dochód pomnika dla ś. p. Oskara Kolberga. Ostatni przyniósł czystego dochodu... 5 złr.

Najlepiej wypadły koncerta: „Lutni“ pod sprężystą imprezą p. Steibelta i Noskowskiego, urządzony staraniem krak. Tow. muzycznego. W przyszłym numerze „Myśli“ zamieścimy wyczerpującą ocenę ruchu muzycznego, którą nam przyrzekł jeden z wybitnych muzyków.

*** W operze wiedeńskiej wystawiono z niewielkiem powodzeniem operę E. Schütta pn.: „Signor Formico.“

*** Ed. Voss, autor „Ewy“ i „Szuldig“ napisał nowy dramat pt.: „Malarja“, ktory wystawił teatr w Sztutgardzie.

*** Utalentowany literat Dr. Wł. Rabski wydał w Poznaniu dramat pt.: „Asceta.“

*** Opera Mascagni'ego, „Rantzau“ wystawiona we Florencji, przyniosła swemu twórcy nowe laury. Powtarzano kilka ustępów; ogółem wywołano Mascagni'ego 30 razy. Od wielbicieli otrzymał Mascagni olbrzymi kosz z kwiatami, który postawiono podczas ostatniego aktu na scenie. Najnowsze to jednak dzieło autora „Rycerskości wieśniaczej“ nie stoi na wyżynie poprzednich jego utworów, jak twierdzi krytyka. Zaproszeni „maskagniści“ urządzili mu owację, atoli publiczność zachowała się dosyć zimno. Mascagni napisał nową operę, której partycję złożył swemu wydawcy, p. Sonzogno w dniu pierwszego przedstawienia „Braci Rantzau.“ Opera ta nosi tytuł „Vestilia“, ma 3 akty i zawiera także intermezzo. Bądź co bądź Mascagni pisze opery w tempie Mozarta, czy Rossiniego.

*** Eleonora Duze występuje obecnie z sukcesem w Berlinie.

*** W Paryżu wystawiono w teatrze Vaudeville sztukę p. Hervieu pt.: „Les paroles, qui restent.“

Nekrologia.

† Dr. Adolf Trachtenberg, lekarz, którego imię winno być wyryte w dziejach martyrologji polskiej, zmarł 21 października w Symferopolu.

† Aleksander Niewiarowski, znany literat, pisujący przeważnie pod pseudonizmem „Półkozica“ zmarł w Warszawie. Niewiarowski zajmował kiedyś w dziennikarstwie warszawskiem bardzo wybitne stanowisko, jako redaktor „Gazety Codziennej“, (którą prowadził do r. 1859), „Pszczoły“, „Gwiazdki“ i „Kuryera Niedzielnego“. Następnie objął dział fejletonu w „Dzienniku Warszawskim.“ Odznaczył się nadto na polu literatury, ogłaszając liczne utwory powieściowe i poezye. Najwyżej oceniła krytyka powieść jego „Laokon“. — W ostatnich czasach, prawdopodobnie pod wpływem potrzeby materyalnej, znacznie się obniżył poziom prac Niawiarowskiego. Przed paroma tygodniami próbował znowu powrócić w odcinku „Gazety Warszawskiej“ do zerwą pisanych tu dawniej fejletonów. Próba ta zakończyła się na jednym artykule; choroba wytrąciła mu z ręki pióro i już nie podniósł się z łoża boleści. Żył lat 67.

† Kazimierz Witkowski, publicysta, redaktor „Kaliszanina“ zmarł w Kaliszu.

† Kompozytor Hervé umarł w 67 roku życia w Paryżu, wskutek gwałtownego ataku astmy, spowodowanego gniewem. Śmierć przyspieszoną została nienstannem rozdrażnieniem Hervégo, z powodu niekorzystnych krytyk dziennikarskich, jakie się pojawiły o jego niedawno wystawionej najnowszej operetce *Bacchanale.*

† W Lipsku zmarł 7 z. m. prof. Uniwersytetu Wilhelm Maurenbrecher na udar sercowy. Urodz. w roku 1838, był profesorem historyi w Dorpacie, Królewcu, Bonn, a w końcu od roku 1884 w Lipsku. Pozostawił liczne prace historyczne, w których zajmował się przeważnie epoką reformacyi.

† W Denissowie k. Przemyślań zmarł poseł na sejm i do rady państwa: Alfons Czaykowski.

† W Wiedniu zmarł w tych dniach żnany pisarz sceniczny, Józef Salinger-Doppler, licząc lat 75. Napisał on przeszło 450 sztuk, przeważnie jednoaktówek, które prawie wszystkie grane były na scenach wiedeńskich. Doppler był przeważnie pisarzem okolicznościowym, a wiele jego piosnek doszło do niezwykłej popularności.

† Hr. Kolowrat Krakowski, patryota i pisarz czeski, zmarł w dobrach swoich w Rychnowie, nad Kmerną.

† Adam hr. Łoś; ojciec powieściopisarza hr. Wincentego i bar. Hagen, publicysta, zmarł w Dębnikach.

Treść Numerów:

Z drukarni A. Słomskiego i Spółki w Krakowie. Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Józef Bornsztein.